

**BOLESŁAW
LEŚMIAN**

PRZYGODY

SINDBADA

ŻEGLARZA

Bolesław Leśmian

Przygody Sindbada żeglarza

«Public Domain»

Leśmian B.

Przygody Sindbada żeglarza / B. Leśmian — «Public Domain»,

Sindbad mieszka w Bagdadzie wraz ze swoim wujem Tarabukiem. Tarabuk jest poetą, który choć pięknie składa słowa, nie zna gramatyki i ortografii, przez co popełnia mnóstwo błędów. Pewnego dnia Tarabuk zasypia nad morzem, napisawszy wiersz, a wiatr zwiewa jego rękopisy prosto do wody. Na dnie odnajduje je Diabeł Morski, który stwierdza, że wiersze są paskudne, ale kojarzy wuja Tarabuka z Sindbadem, miłym młodzieńcem. Diabeł Morski pisze list do Sindbada, by ten wyruszył w morską podróż, zamiast tkwić na brzegu w chacie wraz z wujem, nieudolnym poetą. Sindbad chętnie przystaje na tę propozycję — rozpoczyna się jego przygoda... Przygody Sindbada Żeglarza zostały wydane w 1913 roku jako utwór dla dzieci i młodzieży. Bolesław Leśmian to jeden z najśłynniejszych pisarzy i poetów polskich pierwszej połowy XX wieku, uznany za najoryginalniejszego twórcę tych czasów. To twórca nowego typu ballady, zasłynął także charakterystycznym językiem — jego utwory pełne są neologizmów, zwanych leśmianizmami. W swoich dziełach odwoływał się często do wątków fantastycznych, do wierzeń ludowych, czerpał z tradycji baroku, romantyzmu i Młodej Polski, inspirował się Bergsonem i Nietzschem.

© Leśmian B.

© Public Domain

Содержание

Przygoda wstępna	5
Przygoda pierwsza	11
Przygoda druga	30
Конец ознакомительного фрагмента.	35

Bolesław Leśmian

Przygody Sindbada żeglarza

Przygoda wstępna

Nazywam się Sindbad. Mieszkam stale w Bagdadzie¹. Rodzice moi, umierając, zostawili mi w spadku tysiąc worów złota, tysiąc beczek srebra, sto pałaców, sto ogrodów i jeden trzonowy ząb mego pradziadka, który ojciec mój przechowywał w hebanowej² szkatułce, jako pamiątkę i osobliwość. Pradziadek mój przez całe życie chorował na ból zębów i co pewien czas inny ząb musiał wyrwać, tak że w końcu jeden mu tylko ząb trzonowy pozostał. Umierając, kazał sobie wyrwać i ten ostatni ząb trzonowy, który przeszedł w spadku od mego dziada do mego ojca, a od ojca – do mnie. Był to zwyczajny, zepsuty i szerniały ząb. Jestem pewien, że na świecie znaleźć można bardzo wiele tak samo zepsutych i szerniałych zębów, lecz nie każdy z nich trafia do hebanowej szkatułki, aby stanowić pamiątkę i osobliwość. Ten – trafił. Nieraz, przyglądając mu się z ciekawością i szacunkiem, wyobrażałem sobie, jak ten ząb bolał niegdyś mego pradziada!

Po śmierci rodziców, zamieszkałem w pałacu wraz z jedynym moim wujem Tarabukiem. Wuj Tarabuk był poetą. Co dzień niemal układał wiersze i odczytywał je potem tak głośno, że dostawał bólu gardła i musiał je starannie przepłukiwać lekarstwem, które pilnie ukrywał przed okiem ludzkim, zachowując ścisłą tajemnicę. Twierdził przy tym, że gardło go wcale nie boli i że nie ma przecież potrzeby płukania gardła lekarstwem.

Wuj Tarabuk kochał poezję, lecz nienawidził gramatyki. Pisał z błędami i zazwyczaj na jedno słowo dwa do trzech błędów popełniał. Wstydił się wszakże swej błędnej pisowni i twierdził, że popełnia błędy umyślnie, ażeby potem mieć sposobność i przyjemność poprawiania swych utworów. Nie zauważyłem jednak, ażeby wuj Tarabuk raz napisany wiersz kiedykolwiek poprawiał.

Wuj Tarabuk miał stolik składany, srebrny kałamarz i złote pióro. Z tymi przyborami chodził na brzeg morza, siadał nad brzegiem i, wsłuchany w szumy morskie, pisał swe wiersze.

Pewnego razu o poranku poszedł na brzeg morza. Ustawił stolik składany, umoczył złote pióro w srebrnym kałamarzu i zaczął pisać jakiś wiersz na różowym papierze.

Pisał i pisał, skrobał i skrobał, pocił się i pocił, sapał i sapał, aż wreszcie, po nieludzkich trudach i mękach, ułożył wiersz następujący:

Morze – to nie rzeka, a ptak to – nie krowa!
Szczęśliwy, kto kocha rymowane słowa!
Rymuj mi się, rymuj, drogi mój wierszyku!
Stój w miejscu cierpliwie, składany stoliku!
Stoi stolik, stoi, zachwiewa się nieco,
Za stolikiem – morze, za morzem – Bóg wie co!

Napisawszy ten wiersz, wuj Tarabuk odczytał go głośno i zawołał:

– Piękny wiersz! Jaki prawdziwy początek! Morze to nie rzeka, a ptak to – nie krowa. Któż zaprzeczy prawdzie tych słów! I jaki trafny koniec! Za stolikiem – morze, za morzem – Bóg wie co. Rzeczywiście, za morzem widać mgłę, a w tej mgle dal nieznaną. Jeden Bóg wie, co się w tej dali kryje? Dlatego też napisałem: za morzem – Bóg wie co.

¹ Bagdad – dziś: stolica Iraku. [przypis edytorski]

² heban – rodzaj czarnego lub ciemno zabarwionego, cennego drewna. [przypis edytorski]

Wuj Tarabuk zatarł ręce z zadowolenia i wyciągnął z kieszeni butelkę z tajemniczym lekarstwem, ażeby przepłukać gardło, nadwreżone głośnym odczytaniem świeżo napisanego wiersza. Trudno uwierzyć, ile błędów gramatycznych zdążył popełnić wuj Tarabuk w tak krótkim wierszyku! Zamiast „rzeka”, pisał „żega”, zamiast „ptak”, pisał „bdag”. Nie chcę wszystkich błędów wyliczać, aby nie ośmieszać swego wuja, którego kocham i poważam. Zresztą sam wuj Tarabuk czuł, że pisze błędnie. A chociaż nie mógł swych własnych błędów zauważyć, wszakże, powtórnie wiersz przeglądając, zaczął każde słowo o błąd podejrzewać. Szereg tych nieustannych podejrzeń tak go zmęczył, że wreszcie, poprawiwszy „bdaga” na „bdacha”, zasnął snem nagłym, smacznym i pokrzepiającym. Spał, kiwając się bezwolnie nad składanym stolikiem i co chwila pochrapując, bo wuj Tarabuk chrapać lubił i umiał.

Chmury zgromadziły się na niebie, morze rozbłysło srebrnymi wstęgami rozszumiałych pian, zerwała się burza.

Wuj Tarabuk spał.

Wicher uderzył w stół składany, porwał srebrny kałamarz i złote pióro i wrzucił je do morza.

Wuj Tarabuk spał.

Utonęło złote pióro i srebrny kałamarz. Po raz pierwszy obydwie te przedmioty znalazły się na dnie morskim wśród dziwacznych ryb i potworów. Wicher powtórnie uderzył w stół składany i zwał wszystkie papiery do morza. Były to – niestety! – wszystkie wiersze wuja Tarabuka, które napisał od lat dzieciennych aż do chwili ostatniej. Wiersze zakołysały się na wzburzonych falach i zaczęły moknąć. Mokły, mokły, aż przemokły i, ociążałe od wypitej wody, poszły na dno w ślad za kałamarzem i piórem.

Morze, poczuwszy w swej głębi rymowane utwory wuja Tarabuka, wzburzyło się jeszcze bardziej, zaszumiało, zaryczało tak mocno, że wuj się nareszcie zbudził.

Zbudził się i spojrzał na stół. Nie ujrawszy na stoliku swych skarbów, zaczął płakać i wrzeszczeć, i wrywać włosy z głowy.

Płacząc, wrzeszcząc, wyjąc, skomląc i wrywając pęki bujnych włosów, pobiegł z powrotem do domu, pochwycił wędkę największą, wrócił z nią na brzeg morza i zarzucił wędkę do wody. Myślał wuj Tarabuk, iż mu się uda wędką rękopisy swoje z głębin morskiej powyławiać.

Odtąd wuj Tarabuk co dzień z wędką nad morze chodził, lecz nadaremnie! Nigdy bowiem nie udało mu się ani jednego rękopisu wyłowić!

Tymczasem wszystkie rękopisy wuja leżały na dnie. Zauważyła je pewna ryba, zwana Diabłem Morskim. Jest to ryba z pękatym brzuchem, olbrzymią paszczą i strasznymi oczyma. Ma wszakże tę zaletę, iż jest uczona. Umie czytać i pisać. Otóż Diabeł Morski, ujrawszy rękopisy, zbliżył się do nich i zaczął uważnie odczytywać. Po odczytaniu kilku rękopisów, machnął gniewnie ogonem i zawołał:

– Nigdy jeszcze nie czytałem tak głupich, brzydkich i nieznośnych wierszy. Na domiar złego, w każdym słowie dwa do trzech błędów się ukrywa. Domyślam się, że autorem tych wierszy jest wuj Tarabuk, który co dzień nad brzegiem morza wysiaduje przy składanym stoliku i suszy głowę nad rymami. Dobrze się stało, że wicher zwał mu ze stolika te rękopisy wraz ze srebrnym kałamarzem i złotym piórem! Może przestanie wreszcie tworzyć te obrzydliwe wiersze! Ma on bardzo miłego siostrzeńca Sindbada i mieszka z nim razem w pałacu. Biedny to siostrzeniec, który z takim wujem mieszkać musi pod jednym dachem! Skorzystam z tego srebrnego kałamarza i złotego pióra, aby napisać list do Sindbada. Poproszę mojej dobrej znajomej Ryby Latającej³, żeby ten list Sindbadowi wręczyła.

Diabeł Morski zabrał się natychmiast do pisania listu. Wybrał rękopis, którego jedna tylko strona była zapisana, a druga pusta i zaczął szybko złotym piórem pisać na pustej stronie.

³ *ryba latająca* – morska ryba należąca do rodziny ryb belonokształtnych, występująca w Oceanie Indyjskim, Oceanie Atlantyckim i Spokojnym; swoją nazwę potoczną zawdzięcza temu, że dzięki charakterystycznym, przypominającym skrzydła, płetwom piersiowym potrafi wzbicić się ponad powierzchnię wody. [przypis edytorski]

Wiem o tym wszystkim, co się działo na dnie morza, gdyż pewnej nocy otrzymałem list od Diabła Morskiego i z treści tego listu domyśliłem się, że działo się właśnie tak, a nie inaczej.

Siedziałem w oknie otwartym i patrzyłem przez okno w niebiosa, na których płonęła pełnia księżycowa. Nagle usłyszałem w powietrzu dziwny, suchy, ostry szum skrzydeł. Był to szum osobliwy, do żadnych szumów niepodobny. Żaden ptak nie szumi tak skrzydłami.

Wysunąłem głowę przez okno i zacząłem uważniej wpatrywać się w księżycową jasność pogodnej nocy. Po chwili ujrzałem w powietrzu Rybę Latającą.

Jej skrzydła, podobne do ogromnych płetw, srebrzyły się w księżycu. Poruszała nimi powoli i z trudem. Nie była snadź⁴ przyzwyczajona do lotu nad ziemią i raził ją zapewne brak wody morskiej w powietrzu.

Leciąca jednak wytrwale, mieniać się w świetle księżyca łuską tęczową. Widziałem, jak szybko porusza zmęczonym pyskiem, chwytając dech, utrudniony brakiem wody. W pysku trzymała kawał różowego papieru. Leciąca wprost ku mnie.

Zbliżywszy się do okna, podała mi papier różowy. Zaledwo ten papier wyjąłem jej z pyska, ryba natychmiast umknęła z powrotem i wkrótce znikła mi z oczu.

Spojrzałem na papier. Na jednej jego stronie świetniał kaligraficznie i starannie, lecz z okropnymi błędami napisany wiersz wuja Tarabuka. Poznałem od razu charakter jego pisma i, nie chcąc odczytywać nudnego i głupiego wiersza, odwróciłem arkusz papieru i spojrzałem na drugą jego stronę.

Na drugiej stronie, u góry, olbrzymimi literami czernił się napis:

Wielmożny Sindbad w Bagdadzie

Niżej, pod tym napisem, znajdował się list do mnie, treści następującej:

Piszę z morza do Ciebie, kochany Sindbadzie!
Choć się burza zerwała i fala się kładzie
Na mój grzbiet i przerywa mój spokój i ciszę,
Ja – mimo burz i wichrów – list do ciebie piszę.
Nazywają mnie ludzie Diabłem Morskim, ale,
Choć jestem morskim, diabłem nie czuję się wcale.
Przeciwnie – jestem dobry, tkliwy, choć rubaszny,
Bo mam brzuch zbyt pękaty i pysk bardzo straszny.
Nie sądź mnie po pozorach ani po wyglądzie,
Ja zjadam ryby w morzu, ty zjadasz – na lądzie,
Ja połykam je żywcem, ty – po usmażeniu.
Obydwaj dogadzamy swemu podniebieniu,
Obydwaj pożeramy chętnie, co się zdarza,
Z tą różnicą, że nie mam, tak jak ty, kucharza.
Ja wolę ryby z morza, ty – ryby z patelni,
Lecz obydwaj jesteśmy w pożeraniu – dzielni.
Mimo to nikt cię diabłem dotąd nie przezywa,
A mnie w dziale przypadła ta nazwa straszliwa!
Ani burza najsroższa, ani złe wichrzysko
Nie męczy mię, nie boli tak, jak to przezwisko!
Trudno! Muszę je nosić, choćby z tej przyczyny,
By nie zostać bez nazwy wśród morskiej głębiny!
Przysięgam ci, że diabłem nie jestem i wolę

⁴ snadź (daw.) – wszak, wszakże, przecież. [przypis edytorski]

Pływać w morzu niż w ogniu piekielnym lub smole,
Ufam, że ci wystarczy ta moja przysięga.
Piszę ten list z powodu, iż wicher-włóczęga,
Który na brzegu przygód byle jakich szuka,
Zwiął do morza papiery wuja Tarabuka,
Słynny srebrny kałamarz, tudzież złote pióro.

Płynąłem właśnie, gnany falą i wichurą,
I pod wodą papiery widząc niespodzianie,
Zacząłem chciwie czytać, bo lubię czytanie,
A nawet wolę wiersze od zwyczajnej prozy.
Przeczytałem – i dotąd od gniewu i zgrozy
Trzęsę się, bo, doprawdy, w życiu po raz pierwszy
Przeczytałem tak dużo tak okropnych wierszy!
Co za rymy bez sensu wuj Tarabuk przędzie!
Głupstwo siedzi na głupstwie, błąd siedzi na błędzie,
Osioł pisałby lepiej, a noga stołowa
Więcej ma w sobie sensu, niżli jego głowa!
Sindbadzie! Jakże możesz żyć pod jednym dachem,
Z takim głupcem nieznośnym i z takim postrachem?

Jak możesz spać spokojnie w tym samym budynku,
Gdzie Tarabuk swe rymy tworzy bez spoczynku?
Opuść prędzej swój pałac i pożegnaj wuja,
Czyż nie nęci cię okręt, co po morzu buja?
Czyż nie wabi cię podróż dziwna i daleka?
Cud nieznanym w nieznanym podróży cię czeka.
Czeka cię bajka senna w zaklętej krainie,
I Królewna stęskniona, co z urody słynie,

I skarby i przepychy i dziwy i czary!
Pędź na lotnym okręcie przez morza obszary,
Zwiedzaj wyspy, półwyspy, lądy i przylądki,
I najdalsze zatoki, najskrytsze zakątki,
Zwalczaj wszelkie przeszkody i wszelkie zawady!
Pędź, leć, płyń bez ustanku! Posłuchaj mej rady!
Tego ci życzy, ukłon przesyłając dworski,
Kochający cię szczerze – twój druh

Diabeł Morski

Przeczytałem ten list jednym tchem i wyznam, że nigdy nie przypuszczałem, ażeby Diabeł Morski pisał tak składowo i poprawnie. List ten wywarł na mnie wielkie wrażenie. Rady Diabła Morskiego wydały mi się i słuszne i ponętne. Od dawna mi się znudził i mój pałac, i wuj Tarabuk, i wiersze wuja Tarabuka. Od dawna pragnąłem zaznać przygód i niebezpieczeństw. Prócz tego list Diabła Morskiego, czytany w świetle księżycy, oczarował mnie przenikliwym, nieodpartym czarem. Każde słowo, pisane czarnym atramentem na różowym papierze, dziwnie migotało w blasku księżycowym i tak mnie upajało, że poczułem w końcu zawrót głowy. Każda litera wydzieliała ponętny zapach morskiej trawy. Zapach ten przenikał do mej duszy i budził w niej żądzę podróży morskiej. Bez wątplenia list ten był zaklęty, a treść jego, mimo dobrodusznym pozorów – była naprawdę

diabelska. Przebiegły Diabeł Morski w wyrazach łagodnych i tkliwych namawiał mnie do opuszczenia rodzinnego domu i jedyne go wuja. Poddałem się jednak czarom tej namowy. Byłem tak zachwycony listem, adresowanym na moje imię z tajemniczych głębin morza, że byłbym natychmiast odpisał Diabłu Morskiemu, gdyby Ryba Latająca zaczekała na moją odpowiedź.

Lecz Ryby Latającej od dawna już nie było. Nie czekając na odpowiedź, uciekła z powrotem do morza.

Całą noc przesiedziałem przy oknie, w głębokiej zadumie.

Nad ranem wyczekałem chwili, gdy wuj Tarabuk z wędką w ręku wychodził właśnie z pokoju, aby swoim zwyczajem udać się nad morze dla wyłowienia zgubionych rękopisów.

Był błąd i smutny. Strata ukochanych rękopisów rujnująco wpłynęła na jego zdrowie. Postarzał się o lat sto z górą, chociaż miał dopiero lat pięćdziesiąt. Stał się małowówny i nie kończył słów, które zaczynał. I teraz spojrzał na mnie smutnie i rzekł:

– Dzień do...

Miało to znaczyć: „dzień dobry”. Zmartwienie i żal głęboki nie pozwalały mu słów domawiać. Przyzwyczałem się do tych niecałkowicie zakończonych wyrazów i po pierwszej niemal sylabie zgadywałem ich przemilczaną resztę.

– Dzień dobry – odrzekłem – jakże się spało tej nocy wujowi?

– Jak naj... – odpowiedział wuj Tarabuk.

Miało to znaczyć: „jak najgorzej”, wuj bowiem po stracie rękopisów cierpiał na bezsenność.

– Muszę się z wujem pożegnać! – rzekłem głosem stanowczym. – Dziś w nocy postanowiłem wyruszyć w podróż daleką. Czy wuj ma coś przeciwko temu?

– Nie – odpowiedział wuj.

„Nie” – było jednym z tych słów, które wuj wymawiał całkowicie. Po stracie rękopisów, wuj Tarabuk stał się tak obojętny na wszelkie sprawy, że nie wzruszyła go wcale wiadomość o mojej podróży.

Rzuciłem mu się na szyję i zacząłem go ścisnąć i całować.

– Wuju! – zawołałem. – Żegnam cię na długo i życzę, abys powyławiał z morza wszystkie swoje rękopisy!

Wuj Tarabuk ucałował mnie w czoło i rzekł głosem złamanym:

– Weso...

Miało to znaczyć: „wesołej podróży!”

Po czym wuj Tarabuk wyszedł, a po chwili zobaczyłem przez okno, jak kroczył w stronę morza, potrząsając wędką⁵.

Tegoż dnia wyjechałem konno z Bagdadu do Balsory, Balsora bowiem jest miastem portowym i okręty z portu balsorskiego odpływają we wszystkie strony świata.

W Balsorze wsiadłem na okręt, który płynął w kraje dalekie i nieznane. Stałem na pokładzie okrętu i patrzyłem, jak ląd się ode mnie oddala i jak powoli znika mi z oczu. Wiał wiatr przychylny. Wzdęte żagle połyskiwały na słońcu. Morze błękitniało i zieleniało. Mewy z krzykiem unosiły się nad żaglami, wlatywały nad powierzchnią wody i muskały tę powierzchnię białymi skrzydłami.

Gdy ląd zniknął mi z oczu, uczułem wokół beznamiętność i nieskończoność. Nade mną – niebo, przede mną – morze, przede mną – dal nieznana i niezbadana.

Wyjąłem z kieszeni list Diabła Morskiego, aby ten list czarowny raz jeszcze odczytać. Czytałem go, upajając się każdym słowem, i tak przy tym wymachiwałem rękami, że kapitan okrętu zbliżył się do mnie i zapytał:

– Co czytasz, mój przyjacielu, że tak dziwnie przy tym wymachujesz rękami?

– List Diabła Morskiego – odrzekłem ze szczerością i prostotą.

– Co? – spytał znowu zdziwiony kapitan. – Zdaje mi się, że nie dosłyszałem twojej odpowiedzi?

⁵ wędka – lina zakończona hakiem służąca do połowów na głębokich wodach; dziś raczej wyłącznie: wędką. [przypis edytorski]

– List Diabła Morskiego – powtórzyłem głośniej z jeszcze większą szczerością i z jeszcze większą prostotą.

Przygoda pierwsza

Kapitan, usłyszawszy moją odpowiedź, rzekł, przyglądając mi się uważnie:

– Mówili mi nieraz moi marynarze, że Diabły Morskie umieją czytać i pisać. Nie wierzyłem dotychczas tym opowiadaniom. Teraz jednak przekonuję się naocznie, iż twierdzenia moich marynarzy były prawdziwe. Byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdybyś mi pozwolił ten list przeczytać, o ile, ma się rozumieć, nie zawiera on jakichś tajemnic osobistych.

– Chętnie zaspokoję twą ciekawość, kapitanie – odrzekłem, podając mu list – list ten przyniosła mi w pysku Ryba Latająca, gdy siedziałem przy otwartym oknie mojego pałacu.

Kapitan przeczytał list i zawołał jednego z najstarszych marynarzy.

– Mam w rękę list Diabła Morskiego – rzekł do marynarza. – Ponieważ jesteś doświadczony, więc powiedz, czy obecność takiego listu na okręcie przynosi szczęście czy też nieszczęście?

– Nieszczęście – odparł stary marynarz głosem poważnym i ponurym.

– Cóż wtedy mam uczynić z tym listem? – spytał kapitan.

– Wrzuć co prędzej do morza! – powiedział marynarz.

– Sindbadzie! – zawołał kapitan. – Musisz się zgodzić na to, że cię pozbawię tego listu.

– Zgadzam się na to, kapitanie! – odrzekłem natychmiast. – Miałbym przez całe życie wyrzuty sumienia, gdybym był nieświadomym sprawcą czyjegokolwiek nieszczęścia.

Kapitan wrzucił list do morza. List, zamiast płynąć po wodzie, zaczął się kurczyć, prężyć, przeskakiwać z fali na falę, aż wreszcie sam się złożył w dwoje, potem w troje, potem w czworo i nagle zaszumił, zaszeleścił, zamienił się w pianę morską i rozpląnął się w nic na powierzchni fali.

Marynarz spojrział spode łba na mnie i rzekł ponuro:

– Gdybyś ten list zachował przy sobie, zginąłbyś po kilku godzinach podróży wraz z całą załogą. Teraz, po wrzuceniu listu do morza, czekają cię przygody, nieszczęścia, niespodziane przypadki i nieprzewidziane niebezpieczeństwa. Bardzo mi się nie podoba, że otrzymujesz listy od Diabła Morskiego, ale przypuszczam, że jesteś niedoświadczony i nie znasz się na Diablach Morskich, ani na ich listach.

Nic nie odpowiedziałem marynarzowi, jeno spojrzałem na kapitana, czekając, co powie. Czułem bowiem, że marynarz spogląda na mnie podejrzliwie i posądza mnie o jakieś tajemnicze konszachty z Diabłem Morskim. Kapitan też to spostrzegł i rzekł do marynarza:

– Nie patrz tak podejrzliwie na tego młodzieńca, gdyż ręczę ci za jego niewinność. Gdyby miał jakieś złe zamiary, ukrywałby przed nami list Diabła Morskiego; tymczasem wyznał mi sam z zupełną szczerością i prostotą, że czyta list Diabła Morskiego i powtórzył to wyznanie dwa razy z rzędu.

Uspokojony słowami kapitana, marynarz się oddalił, lecz całej załodze opowiedział natychmiast o tym, co się stało. Toteż wszyscy, prócz kapitana, zaczęli się boczyć na mnie i unikać mego towarzystwa.

Z nikim nie mogłem się zaprzyjaźnić, ani nawet przelotnej rozmowy nawiązać. Nawet obiad spożyłem osobno, nie zaś przy stole ogólnym, ponieważ załoga zażądała zupełnego usunięcia mej osoby od zebrania wspólnych. Słyszałem tylko gwar i śmiechy przy stole, lecz nie miałem prawa zasiąść do tego stołu.

Kapitan wytłumaczył mi, iż musiał ustąpić żądaniu załogi, aby nie drażnić marynarzy.

Samotny więc stałem w kącie pokładu i patrzyłem na morze, które wzbierało szafirową falą, spienioną na grzbiecie. Fala była wysoka, lecz obszerna. Okręt kołysał się na niej powoli, to wbiegając na jej grzbiet sprężony, to zsuwając się z tego grzbietu w dół, aby się znów na następną falę przedostać.

Słońce świeciło, skrząc się i płonąc na nierównościach i zagięciach fal. Pogoda była cudowna. Wiatr, który wzdymał nasze żagle, ustawał. Nadchodziła powoli, nieznaną mi dotąd, nieruchoma,

drętwą Ciszą Morską. Fale się co chwila zmniejszały, powierzchnia morza wygładzała się coraz bardziej.

Stałem wciąż na pokładzie i upajałem się pogodą.

Nagle posłyszałem niespokojny ruch całej załogi.

Obejrzałem się za siebie.

Tłum marynarzy roił się na pokładzie, mrużąc i ponuro spoglądając w czyste, pogodne niebiosy. Znać było po nich trwogę i niepokój. Nie mogłem zrozumieć, skąd ta trwoga i ten niepokój? Wszakże niebo było czyste – bez chmury, bez skazy. Pogoda utrwaliła się na długo. Żadna burza nie groziła naszemu okrętowi.

Upajałem się słońcem i ciszą, ze zdziwieniem patrząc na zatrwożonych widokiem pogodnego nieba marynarzy. Kapitan stał pośród nich i z taką samą trwogą przyglądając się niebiosom, coś mówił czy też wydawał jakieś rozkazy.

Stałem na końcu pokładu i nie mogłem dosłyszeć głosu kapitana. Zaciekawiony jednak ogólnym zgiełkiem i niepokojem, zbliżyłem się nieco, aby pochwytać słowa kapitana.

– Nie spodziewałem się takich przeszkód i takiej przewłoki – mówił kapitan – miałem nadzieję, a nawet pewność, że los będzie sprzyjał okrętowi. Tymczasem musimy się pogodzić z nieszczęściem, które na nas spada. Nieszczęście to jest zbyt widoczne, aby można było w nie wątpić. Wicher co chwila ustaje, powierzchnia morza wygładza się z niezwykłym pośpiechem, fala za falą znika i zamiera. W powietrzu zaczyna dzwonić straszna, groźna, przeraźliwa i gniewna cisza morska. Jeszcze chwila a wszelki powiew zamrze, żagle znieruchomieją i zamiast się wzdymać, zwisną bezsilnie. Okręt zatrzyma się jak skamieniały w tej martwocie i w tym bezruchu. Będziemy zmuszeni stać w miejscu dopóty, dopóki wiatr lada jaki nie przyjdzie nam z pomocą. Wolę burzę niż tę Ciszę Morską. Z burzą można walczyć, z ciszą walka jest niemożliwa.

Zrozumiałem teraz, że pogoda i cisza, którą się tak upajałem, jest groźnym dla okrętu wypadkiem. I rzeczywiście, wiatr z każdą chwilą bezsilniał, a żagle wzdymały się coraz słabiej, niechętniej i niedołężniej. Dalszy ciąg rozmowy pomiędzy kapitanem a marynarzami nappełnił mnie przerażeniem. Stary ów bowiem marynarz, który list Diabła Morskiego kazał wrzucić do morza, rzekł głosem ponurym, wskazując mnie palcem i zwracając się wprost do kapitana:

– Ten nieznamy jest przyczyną naszego nieszczęścia. Nie podoba mi się bardzo jego korespondencja z Diabłem Morskim. Gdybym był kapitanem, kazałbym go wrzucić do morza wraz z listem Diabła Morskiego. Obecność tego człowieka na okręcie może być przyczyną tysiąca nieszczęść i przypadków.

Dreszcz przeszył mnie od stóp do głowy. Czułem, że blednę i z przerażeniem spojrzałem w głębinę morską, która z porady starego marynarza mogła za chwilę stać się moim grobem. Z biciem serca jałem nasłuchiwać odpowiedzi kapitana, od której życie moje zawisło.

Kapitan zmarszczył brwi, zamyślił się głęboko i milczał. Milczał tak długo, że milczenie jego stawało się dla mnie tak samo groźne, jak Cisza Morska dla okrętu. Im dłużej milczał, tym większy niepokój mnie ogarniał. Zataiłem dech, natężyłem słuch – i czekałem. Zdawało mi się, że na czas jego milczenia przestałem istnieć.

Wreszcie kapitan rzekł po długim namyśle i po jeszcze dłuższym milczeniu:

– Nie masz słuszności, mój stary i wierny marynarzu. Młodzieniec ten nie jest ani złym człowiekiem, ani przebiegłym czarnoksiężnikiem na usługach Diabła Morskiego. Otrzymał ów list przypadkowo, a ponieważ list był do niego adresowany, więc odebrał go i zachował przy sobie, nie domyślając się nawet niebezpiecznych wpływów tego listu. Wyraz twarzy tego młodzieńca, jego zachowanie się, dźwięk głosu, a przede wszystkim szczerść i prostota aż nadto świadczą o jego szlachetności. Nie tylko nie wrzucę go do morza, lecz zabraniam całej załodze urażać go lub czynić mu cokolwiek złego.

Odpowiedź kapitana przywróciła mi spokój. Odetchnąłem swobodniej. Byłem uradowany. Przeklinałem w duchu Diabła Morskiego, który przysyłką⁶ tego listu naraził mnie na samym wstępie podróży na nieprzychylność marynarzy i na możliwość utonięcia w głębinie morskiej z ich porady i z ich zlecenia. Gdyby nie rozum i dobroć kapitana, wrzucono by mnie niechybnie do morza. Miał słuszność stary marynarz, że za przyczyną listu diabelskiego czyhają na mnie niebezpieczeństwa i przygody.

Uspokojony odpowiedzią kapitana, usunąłem się znów na koniec okrętu i spojrzałem na morze. Cisza Morska wzrastała, olbrzymiała, napełniając powietrze coraz większą martwością. Okręt płynął jeszcze, ale coraz zwalniał bieg.

Nagle usłyszałem gromadny i radosny krzyk marynarzy:

– Wyspa! Wyspa!

Spojrzałem przed siebie i rzeczywiście zobaczyłem w pobliżu zieleniejącą na powierzchni morza małą wysepkę.

Okręt, ostatnim wysiłkiem żagli pchnięty, zbliżył się do wysepki i zatrzymał się nagle bez ruchu. Nie było nadziei na to, aby popłynął dalej. Cisza Morska znieruchomiła⁷ go zupełnie.

Musieliśmy więc stać w miejscu i czekać, aż wiatr jakkolwiek nadejdzie.

Część załogi, znudzona beczynnym wyczekiwaniem wiatru na pokładzie, postanowiła przedostać się na wyspę, aby tam spędzić czas wyczekiwania.

Kilkunastu marynarzy wysiadło natychmiast i zaroilo się na wyspie. Wysiadłem i ja za ich przykładem, aby zwiedzić wyspę. Po raz pierwszy bowiem w życiu widziałem wyspę na morzu.

Gdy dotknąłem stopą gruntu wyspy, zdziwiony byłem jego miękkością i sprężystością. Miałem wrażenie, że grunt ten jest żywy i że życie w nim nieustannie pulsuje. Przyłożyłem ucho do ziemi i posłyszałem równomierne odgłosy czy też pukania, podobne do bicia serca.

Ponieważ marynarze trzymali się z dala ode mnie, więc samotny błądziłem po wyspie. Zaszedłem na sam jej koniec i stanąłem na brzegu. Wyspa była pokryta dziwaczными wodorostami i krzewami. Niektóre krzewy były tak gęste i wysokie, że z łatwością mogłem się w nich ukryć. Marynarze zaopatrzyli się w chrust, w pale, a nawet belki, których pod dostatkiem było na okręcie. Rozłożyli ognisko, ażeby upiec kartofle. Wkrótce ognisko wybuchło wesołym, błękitnawo-żółtym płomieniem, w którym się kędzierzawiły ruchliwe kłęby burego dymu. Ponieważ nie miałem drzewa i nie mogłem ogniska rozłożyć, wyjąłem z kieszeni nóż podróżny i z lekka zanurzyłem go w ziemi, ażeby zbadać dziwny grunt wyspy.

Ledwo dotknąłem gruntu ostrzem swego noża, a natychmiast trysnęła mi w twarz krew zimna, lecz purpurowa.

Zdziwiło mnie to zjawisko! Przyszędłem do wniosku, iż zapewne niektóre wyspy posiadają grunt krwisty.

Tymczasem dym z ogniska buchał coraz gwałtowniej. Chrust i drzewo rozżarzyły się tak, że upał i żar od główki napełnił Ciszą Morską przejęte i stężałe powietrze.

Spojrzałem w stronę ogniska i zauważyłem, że grunt wyspy, jego żarem i płomieniem dotknięty, zaczyna skwierczeć i syczeć boleśnie, jakby go żywcem smażyono lub pieczono.

I rzeczywiście, zapach smażonej czy też pieczonej ryby napełnił naraz powietrze.

Po chwili zauważyłem, że pod wpływem żarów ogniska, cała wyspa zaczyna kurczyć się, poruszać i chwiać się w swoich posadach.

Przyłożyłem znów ucho do ziemi i dosłyszałem szybsze i gwałtowniejsze uderzenia zagadkowego serca, podobne tym razem do niespokojnych uderzeń młota o kielnię.

Grunt zakółsał się pode mną i usłyszałem nagle głos kapitana, stojącego na przodzie okrętu:

⁶ przysyłka – dziś w tym kontekście: przysłanie a. przesyłka. [przypis edytorski]

⁷ znieruchomić – dziś: unieruchomić kogoś a. coś. [przypis edytorski]

– Co tchu opuścić wyspę! To nie wyspa, lecz grzbiet wieloryba! Cielsko jego pograża się w morzu! Utoniecie wszyscy!

Na ten okrzyk kapitana, marynarze w okamgnieniu przedostali się z domniemanej wyspy na okręt. Nagły i niespodziany wicher powiał od północy. Żagle się wzdęły i okręt zaczął szybko odpływać.

Ponieważ byłem na samym końcu olbrzymiego cielska, pokrytego wodorostami, więc nie zdążyłem wraz z tłumem marynarzy dobiec do okrętu. Kilka razy krzyknąłem, wołając o pomoc, ale nikt mnie nie słyszał. Może wicher zagłuszył dźwięki mego głosu, a może marynarze chcieli się mnie pozbyć i udawali, że wołań moich nie słyszą.

Kapitana zaś nie było już na pokładzie. Zszedł zapewne do kajuty⁸. Okręt odpływał tak szybko, że po chwili widniał moim oczom jako łódź drobna, mnóstwem żagli białych nadmiernie oskrzydłona. Zostałem sam na rozedrganym i kołyszącym się cielsku wieloryba.

Znikąd ratunku, znikąd pomocy!

Ognisko wciąż się jeszcze żarzyło i powiewało coraz to innym jęzorem błękitnawo-złotego płomienia.

Byłem na tyle przytomny, że podbiegłem do ogniska, aby zdeptać i zagasić jego żary, które parzyły boleśnie drgające cielsko wieloryba, zmuszając go do zanurzenia się w bezdeni⁹ morskiej wraz ze mną, jedynym mieszkańcem tej potwornej wyspy!

Było już wszakże za późno! Wieloryb zaczął się pograżać w morzu. Pograżał się powoli. Pierwsza fala wpadła na jego grzbiet i zagasiła ognisko.

Zbolałe i sparzone cielsko wieloryba odetchnęło z rozkoszą pod moimi stopami, czując ochłodę w miejscu, gdzie przed chwilą żarzyło się okrutne i nieznośne ognisko.

Wieloryb wciąż się pograżał. Woda dochodziła mi do kostek, a potem kolejno sięgnęła pasa i ramion... Już tylko głowa sterczała mi nad powierzchnią morza. Zrozumiałem, że za chwilę czeka mnie śmierć w głębinie morskiej. Straciłem przytomność, ale wnet ją odzyskałem.

Błyskawicznie przemknęła mi przez głowę, sterczącą jeszcze ponad wodą, myśl pochwycenia dłonią jednej z belek, zostawionych przez marynarzy na grzbiecie wieloryba.

Belki te pływały bezładnie, unosząc się na wezbranych falach i uderzając się nawzajem o siebie.

Obojgiem dłoni uczepiłem się kurczowo największej belki – i w tej chwili uczułem, że cielsko wieloryba usunęło mi się spod nóg i pogrzyżyło się w głębinie morza.

Zawisnąłem nad otchłanią wodną, ściskając rękami belkę, która mnie trzymała na powierzchni, ratując od zatonięcia.

Coraz większy i potężniejszy wicher dał od północy, miotając mną po morzu, jak źdźbłem lichej słomy. Uderzał we mnie raz po razie i wyszarpywał mi z dłoni belkę. Trzymałem ją wszakże tak mocno, że najsrozsza burza nie potrafiłaby z rąk mi jej wytrącić.

Wicher gnał mnie w stronę południa. Fale to wznosiły się ku górze, to opadały pode mną. Wznosiłem się i opadałem wraz z falami. Płynąłem za wichrem, nie wiedząc, dokąd mnie niesie.

Płynąłem tak dzień cały, żadnych brzegów, żadnych lądów nie widząc przed sobą. Nic – tylko morze i morze, bez końca, bez kresu, bez granic. Nastąpiła noc. Pociemniało morze, pociemniała naokół woda, w której przebywałem, niesiony wichrem ślepym i bezrozumnym. Zamiast morza – widziałem teraz ciemność bez końca, bez kresu, bez granic. Zdawało mi się, że nie woda, lecz ciemność wzbiera pode mną, pieni się, szumi, ogarnia mnie i unosi nie wiadomo dokąd.

Bałem się, że wicher rzuci mną o skałę lub rafę¹⁰ podwodną i zmiażdży mnie po ciemku zanim zdołam zrozumieć, co się ze mną stało.

⁸ kajuta – inaczej kabina, prywatne pomieszczenie mieszkalne na statku. [przypis edytorski]

⁹ bezdeni (daw.) – przepaść, otchłań bez dna. [przypis edytorski]

¹⁰ rafa – duży, podwodny, masywny wał zbudowany z nagromadzonych szkieletów organizmów morskich. [przypis edytorski]

Z rozpaczą i przerażeniem wyczekiwałem świtu. Dusza moja i oczy spragnione były jednego choćby promienia słońca, który swym brzaskiem nieśmiały dzień zapowiada.

Unosząc się na ciemnych, spienionych falach, marzyłem o tym promieniu, o tym brzasku, o tym poranku, który zaświta w niebiosach i rozwidni ciemność dokolną¹¹.

Noc wreszcie minęła i dzień zaświtał.

Zaświtał nieśmiało, bladym, zielono-złotym promieniem na szarym, zimnym obłoku.

Morze z lekka się rozwidniło. Oczy moje napełniły się radością, że mogły widzieć to, na co patrzyły. Otucha wstąpiła mi do serca.

Ścisnąłem mocniej belkę – jedyną przyjaciółkę, jedyną towarzyszkę mego smutku i mej podróży. Wicher nie ustawał i gnał mnie wciąż w stronę południa.

Słońce ukazało spoza obłoku swój rąbek złoty, a potem pół tarczy, aż wreszcie cała tarcza słoneczna zazłociła się na niebie.

Wówczas oczy moje, mrokiem nocnym umęczone, ujrzały z dala przed sobą brzegi wyspy nieznaney, pokryte zielenią drzew olbrzymich.

Widok tych brzegów rozweselił moje oczy i moją duszę.

Poczułem teraz, jak głęboko, jak serdecznie kocham te drzewa zielone i te brzegi, które są częścią matki-ziemi, mojej rodzicielki.

Wicher gnał mnie właśnie ku tym brzegom, ku tym drzewom, ku tej zieleni.

Zbliżałem się do wyspy z szybkością niemal błyskawiczną.

Zaledwo pół godziny ubiegło od czasu, gdy wyspę zobaczyłem, a już dosięgnąłem jej brzegów. Po chwili belka jednym końcem uderzyła o brzeg wyspy. Chwyciłem dłonią za krzew, który ponad brzegiem zwisał, i wypelzłem z morza na wyspę.

Radość moja nie miała granic! Upadłem na kolana, pochyliłem głowę i całowałem ziemię wonną, ziemię twardą, której powierzchnię czułem teraz pod sobą.

Ucałowawszy tę ziemię, wstałem aby się rozejrzeć dokoła.

Na brzegu dzikiej i pustej wyspy ujrzałem mnóstwo pięknych koni. Jedne biegły, powiewając grzywą, drugie pasły się na bujnej trawie, inne stały w miejscu, dumnie unosząc ku górze pyski i przyglądając mi się oczyma pełnymi zdziwienia.

I ja też ze zdziwieniem przyglądałem się im z kolei.

Nie rozumiałem bowiem ich obecności na tej dzikiej i pustej z pozorów wyspie.

Głód mi dokuczał. Wyruszyłem więc w głąb wyspy w nadziei, iż mi się uda znaleźć kokosy lub banany i nimi głód swój zaspokoić.

Uszedłszy sporo kroków, spostrzegłem grootę. We wnętrzu tej groty siedziało kilkunastu ludzi, bogato ubranych.

Zauważyli mnie od razu i wybiegli z groty, aby mnie zatrzymać.

– Stój! – zawołał jeden z tych ludzi – skąd idziesz i dokąd?

– Idę wprost z morza – odrzekłem – zaś dokąd idę – nie wiem.

– Jesteś zapewne cudzoziemcem?

– Jestem cudzoziemcem. Nazywam się Sindbad. Uniknąłem przed chwilą śmierci, która mi całą dzień i noc całą groziła. Jeśli chcecie – opowiem wam, co się ze mną działo.

– Opowiedz! – zawołali wszyscy chórem. – Lubimy pasjami wszelkie opowiadania, lecz możemy cię słuchać tylko do godziny trzeciej minut pięć. Teraz jest godzina pierwsza, masz więc dwie godziny i pięć minut czasu.

– Wystarczy mi to najzupełniej! – odrzekłem i zacząłem im opowiadać po kolei wszystko, co przeżyłem od czasu wyjazdu z Balsory. Słuchali uważnie, dziwiąc się moim przygodom.

Gdym skończył opowiadanie, zaprosili mnie do groty i podali mi suty posiłek.

Jeden z nich zwrócił się do mnie z tymi słowami:

¹¹ *dokolny* – dziś: *dookolny*; znajdujący się dookoła, rozciągający się wokół. [przypis edytorski]

– Jesteśmy masztalerzami¹² króla Miraża, który jest królem tej wyspy oraz wielu wysp okolicznych. Co rok dzień jeden spędzamy na tej wyspie wraz z tysiącem koni królewskich. Gdybyś o dzień jeden się spóźnił, już byś nas nie zastał, gdyż jutro, skoro świt, wracamy do stolicy. Drogi tej wyspy są tak błędne i tajemnicze, że bez naszej pomocy zabląkałbyś się niechybnie i zginąłbyś z głodu.

– Punkt trzecia! – zawołał nagle drugi masztalerz, przerywając pierwszemu.

– Mamy tylko pięć minut czasu – rzekł pierwszy i, zwracając się do mnie, ciągnął dalej: – O trzeciej minut pięć wynurza się z morza na brzeg wyspy Koń Morski¹³ i wyprawia na brzegu swe chełpliwe harce, płasy i skoki. Konie królewskie przyglądają się tym harcom, płasom i skokom i mimo woli zaczynają je naśladować, nabierając cudownych ruchów. Tym sposobem kształcimy konie królewskie. Lecz Koń Morski, po ukończeniu swych płasów, harców i skoków, rzuca się na nasze konie, aby je pożreć. Wówczas odstrasza go krzykiem, przed którym uchodzi z powrotem do morza. Jeśli chcesz przyjrzeć się temu zjawisku, chodź z nami na brzeg wyspy, gdyż natychmiast wszyscy tam idziemy.

Zgodziłem się chętnie i poszedłem wraz z nimi.

Stanęliśmy na brzegu o godzinie trzeciej minut pięć i ukryliśmy się w krzakach pobliskich, aby Konia Morskiego przed czasem nie płoszyć. Czekaliśmy niedługo. Koń Morski wynurzył się z wody i wesoło wyskoczył na brzeg.

Po raz pierwszy w życiu ujrzałem Konia Morskiego. Był to niezwykle i prawie czarodziejski koń maści zielonej jak fala morska. Miał zielone ślepie, zieloną grzywę, zielony ogon i zielone kopyta.

Poruszył chrapami, zgiął szyję w łuk i zaczął harcować, płasać i podskakiwać tak cudownie, że nie mogłem oczu od niego oderwać. Falowała mu grzywa i falował grzbiet. Zdawało się chwilami, że to fala morska płasza na brzegu.

Konie królewskie, oczarowane jego płasem, długo się w niego wpatrywały, aż wreszcie jeły bezwiednie naśladować jego ruchy i odruchy. Ustawiły się szeregiem – jeden obok drugiego – i, zachowując linię szeregu, zaczęły harcować, płasać i podskakiwać, przejmując od Konia Morskiego falistość jego łabędzich poruszeń. Godzinę całą trwał taniec koni królewskich. Koń Morski umyślnie wprawiał je w ten taniec i czarował swymi harcami, ażeby potem w chwili niespodzianej napaść na oczarowane i tańcem zajęte konie i pożreć je zielonymi kłami.

Gdy zauważył, że konie królewskie są już dość oczarowane, zaprzestał swych płasów, zaczął się, błysnął ślepiami i już chciał się na nie rzucić, lecz masztalerze królewscy w okamgnieniu wyskoczyli z krzaków, aby go odstraszyć krzykiem i wrzaskiem nagłym.

Wrzask i krzyk masztalerzy królewskich spłoszyły Konia Morskiego. Błyskawicznym skokiem przerzucił się z brzegu do głębiny morskiej i znikł w falach.

Konie królewskie wciąż jeszcze tańczyły, nie mogąc się oprzeć czarom i pokusom cudownego tańca. Masztalerze jedwabnymi biczami skierowali je ku grocie, która służyła za schronisko koniom. Cała grotka napelniła się końmi i ludźmi. Przenocowaliśmy w grocie wraz z końmi, a nazajutrz, skoro świt, wyruszyliśmy w drogę do miasta.

Błędna to była droga, w jarach, w gęstwach zagubiona, trudna do przebycia. Gdy się zbliżyliśmy do murów miasta, masztalerze królewscy przystanęli nagle i jeden z nich tak do mnie przemówił:

– Okazaliśmy ci gościnność i przychylność. Nie odmówiliśmy ani pokarmu, ani noclegu, ani pomocy. Nie domyślasz się nawet, że groziło ci z naszej strony niebezpieczeństwo. Z rozkazu bowiem króla Miraża jesteśmy obowiązani zabijać każdego, ktokolwiek ośmieli się dotrzeć do brzegu wyspy, do tego miejsca, gdzie konie królewskie uczą się płasów od Konia Morskiego. Dostęp do tego miejsca jest wzbroniony pod karą śmierci. Nikomu, prócz nas, nie wolno tam stopy swojej postawić. A i my tylko raz na rok mamy prawo jednodniowego pobytu na owym brzegu. Król Miraż w ściślejszej

¹² *masztalerz* – osoba zajmująca się końmi, starszy stajenny. [przypis edytorski]

¹³ *koń morski* – potoczna nazwa drapieżnego ssaka morskiego, morsa; tu: nazwa potraktowana dosłownie. [przypis edytorski]

tajemnicy zachowuje istnienie Konia Morskiego i jego cudowny wpływ na ruchy koni królewskich. Każdy z poddanych podziwiał te ruchy taneczne, lecz nikt nie wie, że są one naśladowaniem płasów Konia Morskiego i nikt się nie domyśla, że w głębinie fal, u pobraża tej wyspy kryje się dziwny, zielonogrzywy i zielonooki zwierz, zwany Koniem Morskim. Traf i przypadek zawieruszył cię na brzegi tej wyspy. W pierwszej chwili mieliśmy zamiar zasztyletowania ciebie, jako nieproszonego gościa i widza tajemnicy królewskiej. Lecz wzruszyło nas twoje opowiadanie i postąpiliśmy wbrew rozkazowi króla Miraża. Darowaliśmy ci życie, którego powinniśmy byli ciebie pozbawić. Czeka nas śmierć za naruszenie rozkazu królewskiego. Toteż z kolei prosimy cię o zachowanie tajemnicy naszego czynu. Nikomu nie mów o tym, co się stało. Wejźmy teraz sami do miasta, ty zaś zatrzymaj się pod jego murami. Stój cierpliwie i czekaj, aż się oddalimy. Wówczas dopiero wejdź do miasta, jako samotny wędrownik. Gdybyś nas kiedykolwiek spotkał na ulicy, udawaj, że nas nie znasz i nie witaj nas ukłonem.

– Możecie być pewni, że spełnię waszą prośbę i że tajemnicę zachowam! – odrzekłem głosem wzruszonym i uściskałem po kolei ich dłonie silne i szerokie.

Odeszli wówczas spokojnie, pędząc przed siebie konie, które wciąż poruszały się tanecznie, opętane wspomnieniem i czarem Konia Morskiego. Stałem w miejscu cierpliwie dopóty, dopóki nie znikli mi z oczu. Upewniwszy się, że są już dość daleko, wszedłem do miasta, jako wędrownik samotny.

Widok tego miasta nappełnił mnie podziwem! Bruki, cegły domów, dachy, okna – wszystko było zielone, koloru fali morskiej. Zdawało mi się, że przez szkło zielone na świat spoglądam.

Mijając ulicę za ulicą, wyszedłem na plac olbrzymi. Na placu tym zastałem tłumy ludzi. Zmieszałem się z tłumem i poprzez plecy mrowiących się ludzi spojrzałem na środek placu.

Na środku placu stał tron złoty. Na tronie siedział sam król Miraż w zielonej szacie i z zieloną buławą w ręku.

Zwróciłem się do jednego z moich sąsiadów i spytałem się, co oznacza to całe zbiegowisko dookoła tronu królewskiego?

– Jesteś zapewne cudzoziemcem – odpowiedział sąsiad – nie wiesz więc o tym, że dziś jest dzień imienin króla Miraża. W dniu tym król Miraż postanowił córkę swoją, piękną Piruzę, dać za żonę temu, kto rozwiąże jego tajemniczą zagadkę. Co rok w dniu imienin króla odbywa się ta sama uroczystość, lecz nikt dotąd zagadki rozwiązać nie potrafił. Patrz uważnie! Zaraz zjawi się piękna Piruza, aby siąść obok króla i czekać na rozwiązanie zagadki. Pała ona od dawna żądzą zamążpójścia i ma urazę do tych wszystkich rycerzy, którzy zagadki odgadnąć nie mogą. Straciła nadzieję, aby ktokolwiek kiedykolwiek i jakkolwiek zagadkę królewską rozwiązał. Toteż zazwyczaj z pogardą spogląda na tłumy, rojące się dookoła tronu.

Sąsiad mój zamilkł, a ja znowu spojrzałem na plac.

W tej chwili właśnie obok tronu złotego ustawiono drugi – srebrny i piękna Piruza zbliżyła się do srebrnego tronu. Z pogardą spojrzała na tłumy i siadła na tronie. Pogarda jej była tak wielka, że zawstydzeni rycerze spuścili oczy. Żaden z nich nie był pewien bystrości swego rozumu, chociaż każdy miał szczery zamiar rozwiązania zagadki i zawładnięcia ręką pięknej królowej.

Król Miraż wstał z tronu i, spojrzawszy po obecnych, rzekł głosem donośnym:

– Zwyczajem dorocznym, wobec wszystkich moich poddanych wygłaszam swoją zagadkę. Kto ją odgadnie, ten posiędzie¹⁴ rękę mej córki pięknej Piruzy – oraz pół mego królestwa. Mam nadzieję, iż w tym roku znajdzie się rycerz domyślny, który zagadkę rozwiąże, gdyż dotąd przez długie lata nikt mi nie dał trafnej odpowiedzi. Słuszna więc, iż córka moja jest już zniecierpliwiona niedomyślnością moich poddanych. Z trzech pytań składa się zagadka tajemnicza. Na trzy więc pytania trzech żądam odpowiedzi.

Pierwsze pytanie:

¹⁴ *posiędzie* (daw.) – dziś popr. forma: *posiędzie*. [przypis edytorski]

jaka pogoda pomimo pogody zwiastuje klęski, nieszczęścia i szkody?

Drugie pytanie:

co to za tancerz, który płąsa po to, by pożreć innych, gdy tańczą z ochotą?

Trzecie pytanie:

kto listy pisze wśród fal powodzi, i, będąc diabłem, z piekła nie pochodzi?

Oto są trzy pytania. Czekam teraz na odpowiedzi. Poddani moi! Wysłicie swój umysł, natężcie uwagę, skupcie wszystkie moce swego rozumu, aby zagadkę odgadnąć. Czyż was nie martwi niecierpliwość pięknej Piruzy? Czyż i tym razem sprawicie jej zawód? Czyż chcecie, aby się zestarzała, czekając daremnie na skuteczne wysiłki waszych rozumów? Nie mogę ułatwić wam waszego zadania, mogę tylko dać znak moją dłonią królewską, wy zaś – na ten znak – zamyślcie się, wszyscy naraz i każdy z osobna!

Król dał znak dłonią – i wszyscy się zamyślili. Widać było, jak wysilają swój rozum, natężają uwagę i skupiają pilnie myśli rozproszone.

Uderzali się palcem w czoło, marszczyli brwi, przymykali oczy, roztwierali na oścież nieme od zdziwienia gęby, pocili się i bledli z nadmiernego wysiłku – lecz wszystko nadaremnie! Nikt nie przerwał ciszy ogólnej, nikt nie mógł rozwiązać zagadki!

Piękna Piruza niecierpliwie uderzała nóżką o ziemię, pogardliwie wzruszała ramionami i gniewnie zagryzała wargi purpurowe.

Serce zabiło mi mocniej w piersi. Czułem bowiem, że za chwilę mogę osiąść piękną Piruzę i pół królestwa! Odpowiedzi na trzy pytania królewskie były mi aż nadto wiadome dzięki przygodom, które mnie w podróży spotkały. Dość mi było wypowiedzieć je głośno przed królem, aby zdobyć rękę pięknej Piruzy i zawładnąć połową królestwa! Przedarłem się przez tłum i zbliżyłem się śmiało do tronu.

Spojrzenia wszystkich obecnych zwróciły się ku mnie. Spojrzał na mnie król i spojrzała piękna Piruza. Nastąpiło milczenie, pełne wyczekiwania. Skłoniłem się i przerwałem to milczenie.

– Królu – rzekłem – odgadłem twoją zagadkę! Mogę ci odpowiedzieć na trzy twoje pytania!

– Odpowiedz – rzekł król.

Piękna Piruza uśmiechnęła się, ja zaś mówiłem dalej:

– Pierwsze pytanie: Jaka pogoda, pomimo pogody, zwiastuje klęski, nieszczęścia i szkody? –
Cisza Morska.

– Zgadłeś – rzekł król.

Piękna Piruza spoważniała, ja zaś mówiłem dalej:

– Drugie pytanie: Co to za tancerz, który płąsa po to, by pożreć innych, gdy tańczą z ochotą?
– Koń Morski.

– Zgadłeś – powtórzył król.

Piękna Piruza spojrzała na mnie z zachwytem i wdzięcznością, ja zaś mówiłem dalej:

– Trzecie pytanie: Kto listy pisze wśród fal powodzi i, będąc diabłem, z piekła nie pochodzi?
– Diabeł Morski.

– Zgadłeś – powtórzył znów król.

Piękna Piruza wyciągnęła ku mnie obydwie dłonie i szepnęła:

– Nareszcie!

– Jak ci na imię? – spytał król.

– Sindbad – odrzekłem.

– Sindbadzie! – zawołał król. – Jesteś najmądrzejszym ze wszystkich ludzi na świecie! Błogosławię los za to, że cię przeznaczył na męża mej córki! Rozwiązałeś zagadkę, czego nikt dotąd nie potrafił. Ułożyłem ją sam, gdyż układanie zagadek jest najulubieńszym moim zajęciem. Lecz łatwiej o wiele zagadkę ułożyć, aniżeli odgadnąć. Pójdiesz natychmiast razem z nami do pałacu. Piękna Piruza musi bowiem przyjrzeć się swemu przyszlętemu mężowi. Oboje więc będziecie spędzali czas na pogadankach. Dzień dzisiejszy przeznaczam na to, abyście mogli poznać się bliżej nawzajem.

Dzień jutrzejszy przeznaczam na to, abyście zdążyli przyzwyczać się do siebie. Zaś pojutrze huczne wam sprawię wesele!

To rzekłszy, król Miraż poszedł naprzód w stronę pałacu. Ja i Piruza podążyliśmy w ślad za nim, otoczeni tłumem dworzan i rycerzy, którzy mi się przyglądali z podziwem i zazdrością. Gdy wchodziłem do pałacu, orkiestra królewska, umieszczona na jednym z tarasów, zagrała na moją cześć marsza. Król Miraż wprowadził mnie i Piruzę do głównej sali swego pałacu, ustawił własnoręcznie dwa krzesła – jedno naprzeciw drugiego – i rzekł do nas głosem ojcowskim, pełnym wzruszenia i powagi:

– Siadźcie oboje, jedno naprzeciwko drugiego. Patrzcie sobie prosto w oczy i zawiążcie rozmowę szczerą i poufną. W ten sposób poznacie przed ślubem swe dusze i charaktery, aby się po ślubie nie zdziwić i nie zatrwożyć różnicą tych dusz i odmiennością tych charakterów. Nie będę wam przeszkadzał w rozmowie i zostawię was sam na sam, by swoją obecnością nie krępować waszych młodzieńczych wyznań!

Król wyszedł. Zostaliśmy sam na sam. Usiedliśmy natychmiast naprzeciwko siebie, lecz żadne z nas nie wiedziało na razie, co ma rzec i jak przerwać uciążliwe i przykre milczenie. Przerwała je pierwsza Piruza.

– Hindbadzie – rzekła nieśmiało – ojciec kupił mi wczoraj naszyjnik perłowy, w którym mi jest bardzo do twarzy.

– Ciesz się mnie niezmiernie ta wiadomość – odrzekłem też nieśmiało – ale muszę zauważyć, że nie nazywam się Hindbad, lecz Sindbad.

– Hindbadzie – rzekła znowu Piruza, nie słysząc mojej uwagi – ciekawa jestem, czy lubisz kwiaty, bo ja bardzo lubię.

– Lubię kwiaty – odparłem – lecz po raz wtóry muszę zauważyć, że nie nazywam się Hindbad, lecz Sindbad.

– Hindbadzie! – zawołała niepoprawna Piruza. – Czy wiesz o tym, że w pobliżu naszej wyspy znajduje się inna wyspa, która nazywa się Kassel. Na wyspie tej przebywa potwór Degial. Ukrywa się on przed okiem ludzkim i, sam niewidzialny, widzi wszystkich i wszystko dokoła. Nienawidzi ludzi, roślin i zwierząt – kocha tylko muzykę i napełnia powietrze wyspy nieustannym brzmieniem gongów, podobnym do mosiężnego brzmienia wielkich i potężnych dzwonów. Brzmienie to oszałamia ludzi, zwierzęta, a nawet rośliny, i odbiera im przytomność. Jeden z marynarzy, który tę wyspę zwiedził, opowiadał mi, że zastał tam ostatnią nieprzytomną różę i ostatniego zemdlonego ptaka. Zresztą żadne żywe stworzenie istnieć na tej wyspie nie może. Jest pusta, smutna, pokryta skałami i zasłuchana w nieustanne brzmienia gongów. Nie wolno jej odwiedzać gromadnie, tylko samotnie, a i wówczas trzeba zawiesić na szyi amulet¹⁵, który strzeże przed napaścią złego Degiala. Marynarz, o którym ci mówiłam, podarował mi jeden taki amulet. Schowałam go do szkatułki, aby z niego skorzystać i odwiedzić wyspę Kassel, gdy wyjdę za mąż i stanę się samodzielną. Dotąd bowiem ojciec wzbraniał mi stanowczo tej niebezpiecznej wycieczki.

Opowiadanie Piruzy rozciekawiało mnie niezmiernie. Uczulem nieodpartą żądę natychmiastowego zwiedzenia tej dziwacznej wyspy.

– Piruzo! – zawołałem. – Czy udzieliłabyś mi tego amuletu, abym mógł zwiedzić wyspę Degiala?

– Owszem – odrzekła Piruza – chętnie ci go udziękuję, ale chyba nie zechcesz odbywać tej podróży przed ślubem? Po ślubie wybierzemy się tam po kolei, najpierw ty, a potem ja, gdyż, jak ci to już tłumaczyłam, nie wolno odwiedzać tej wyspy razem, lecz osobno.

– Nie! – zawołałem gwałtownie. – Nie chcę ani dnia jednego czekać na oglądanie tych cudów! Zwłoka byłaby dla mnie nie do zniesienia! Nie mógłbym ani spać, ani pokarmów przyjmować. Dzień dzisiejszy, zgodnie z życzeniem króla, spędzę do końca razem z tobą, droga Piruzo, lecz dzień

¹⁵ amulet – przedmiot chroniący osobę przed czarami lub nieszczęściem. [przypis edytorski]

jutrzejczy, wbrew życzeniom króla, poświęcę na zwiedzenie wyspy Degiała. Wrócę akurat pojutrze na nasz ślub i będę ci mógł przed ślubem opowiedzieć, co na owej wyspie zobaczyłem.

– Nie mam nic przeciwko temu – odrzekła Piruza. – Sama od dawna pragnę tę wyspę zwiedzić, więc aż do głębi rozumiem twoje pragnienie. Musisz jednak z królem uprzednio o tym pomówić i uprosić go o pozwolenie odbycia tej wycieczki.

Na te słowa król Miraż wszedł właśnie do sali, spojrzął na nas po ojcowsku i rzekł:

– Jakże się klei wasza rozmowa? Czyście już poznali się nawzajem i czy się wam podobają wasze dusze i charaktery? Jest to bowiem niezbędny warunek szczęścia i zgody małżeńskiej.

– Ojczy! – zawołała Piruza. – Zdaje mi się, że poznaliśmy się dostatecznie. Podoba mi się niezmiernie tkliwa dusza i dzielny charakter mego przyszłego męża. Podoba mi się nawet i to, że chce mnie jutro na dzień cały opuścić, aby zwiedzić wyspę straszego Degiała. Pragnie jednak przedtem uzyskać twoje pozwolenie.

– Jak to? – spytał król, brwi z lekka przymarszczywszy. – Przeznaczyłem dzień jutrzejszy na to, abyście się przyzwyczaili nawzajem do siebie; ty zaś, młodzieńcze niecierpliwy, chcesz ten dzień spędzić na wyspie Degiała, aby zaspokoić swą ciekawość i żądzę oglądania cudów?

Ukląknę na jedno kolano i rzekłem głosem stanowczym:

– Moim zdaniem, królu miłościwy, w dniu dzisiejszym zdążyliśmy nie tylko poznać swe charaktery, lecz i przyzwyczaić się do siebie nawzajem. Dlatego też wolę dzień jutrzejszy poświęcić na oglądanie cudów na wyspie Degiała, abym potem, w czasie naszego wesela, mógł się pochełpić przed gronem dworzan i rycerzy, że widziałem cuda, których widok nie każdemu jest dostępny. Jestem pewien, że rycerze i dworzanie skierują na naszym weselu rozmowę ku owej wyspie, ażeby postawić mnie w położeniu człowieka, który nie może się wtrącić do rozmowy, ponieważ nie zna się na tych cudach i wyspy tej nie oglądał.

Król się zamyślił i wreszcie rzekł udobruchany:

– Pokochałem cię tak bardzo, że niczego ci odmówić nie potrafię. Daję ci więc swoje królewskie pozwolenie na tę niebezpieczną wycieczkę. Nie zapomnij tylko zawiesić na szyi amuletu, który cię uchroni od wszelkich przypadków. Rozkażę jednemu z moich rycerzy, aby jutro, skoro świt, zaprowadził cię na brzeg morza i wskazał drogę do czarodziejskiej wyspy. Jedź i wracaj do nas jak najprędzej, drogi mój Hindbadzie!

– Dziękuję ci, królu, z całego serca za ustąpienie moim prośbom – rzekłem, powstając z kolan. – Muszę jednak zauważyć, że nie nazywam się Hindbad, lecz Sindbad. Dziwi mnie, że ty i twoja córka tak stale i tak jednako przekręcacie moje imię.

– Niech cię to nie dziwi, drogi Hindbadzie! – odpowiedział król. – Przekręcanie imion i nazwisk jest jedyną rodzinną wadą moją i mojej córki, przekręcamy zawsze jednakowo i pod tym względem nigdy się nie mylimy. Nie zwracaj na to uwagi, ani się urażaj. Cóż bowiem znaczy imię. Czy nazwiemy cię tak czy owak, zawsze będziesz zarówno bliski naszemu sercu!

Król mnie uściśnął i ucałował w czoło. Piruza tymczasem przyniosła amulet i własnoręcznie zawiesiła mi go na szyi.

Nadszedł wieczór. Zapadła noc. Odprowadzono mnie do komnaty, przeznaczonej dla mnie na nocleg. Zasnąłem smacznie, zmęczony natłokiem wypadków i wrażeń.

Skoro świt zbudziłem się rzeźwy i wypoczęty.

Pod drzwiami mej komnaty czekał już na mnie rycerz, aby mnie odprowadzić na brzeg morza i wskazać drogę do wyspy czarodziejskiej. W towarzystwie rycerza pośpieszyłem na brzeg morski, gdzie czekała już na mnie łódź o dwóch wiosłach. Rycerz wskazał mi na morzu punkt czarny i zalecił, abym łódź skierował wprost ku owemu punktowi, który był wyspą, oddaleniem zmniejszoną.

Wesoło wskoczyłem do łodzi i popłynąłem.

Po sześciogodzinnym wiosłowaniu, zbliżyłem się do wyspy na taką odległość, że mogłem już dosłyszeć dziwne, mosiężne brzmienie dalekich gongów.

Począłem szybciej wiosłować i wkrótce dobiłem do brzegu tajemniczej wyspy.

Wyskoczyłem na brzeg i wyciągnąłem łódź na ląd do połowy, aby jej morze nie uniosło.

Pobiegłem przed siebie, w głąb wyspy, ciekawie rozglądając się dokoła. Wyspa była pusta. Nic, prócz skał i kamieni. Dźwięki niewidzialnych gongów rozlegały się wciąż w rozedrganym, rozhuczonym powietrzu. Rozlegały się coraz głośniejsze, coraz potężniejsze. Widocznie Degial, spostrzegłszy moją obecność na wyspie, wydobywał z gongów dźwięki coraz potężniejsze, aby mnie oszołomić. Uszy moje napełniły się takim hukiem i brzmieniem, że o mało nie straciłem przytomności. Zrobiłem jednak wysiłek woli, aby jej nie stracić, i szedłem śmiało dalej.

Przypomniały mi się nagle słowa Piruzy o Degialu:

– Ukrywa się on przed okiem ludzkim i sam niewidzialny, widzi wszystkich i wszystko dokoła.

Ledwo przypomniałem sobie te słowa, a uczułem natychmiast na sobie straszny, przenikliwy wzrok niewidzialnego ducha.

– Widzi mnie! – pomyślałem.

Widział mnie na pewno. Czułem, jak się od stóp do głów odbijam w jego potwornej źrenicy. Czułem, jak mi się przygląda, jak mnie bada, jak śledzi moje kroki i każdy wyraz mojej twarzy.

– Jeśli mnie widzisz, uderz mocniej w gongi! – pomyślałem niespodzianie.

W tej chwili rozległ się przeraźliwy, mosiężny wrzask gongów. Zbladłem z przerażenia, lecz jeszcze bardziej przerażyła mnie myśl, że Degial widzi moją bladość. Pośpiesznie zakryłem dłońmi twarz pobladałą. Lecz natychmiast przyszło mi do głowy, że Degial widzi i to, jak dłońmi twarz zakryłem. Opuściłem więc dłonie bezsilnie.

Myśl, że jestem dla niego widzialny, choć sam go nie widzę, napełniła mnie i przerażeniem, i gniewem. Gniew mój był tak wielki, że usunął przerażenie.

Powodzenie dnia wczorajszego wbiło mnie w taką dumę i zarozumiałość, że uważałem siebie od wczoraj za człowieka niezwykłego i potężnego, któremu nikt, nawet Degial, dorównać nie zdoła. Tymczasem uczułem się małym i bezsilnym wobec niewidzialnego ducha.

Poczucie małości i niemocy wprawiło mnie we wściekłość! Zacisnąłem pięści, tupnąłem nogą o ziemię i zawołałem:

– Zjaw się lub przemów do mnie, ty – niewidzialny!

Wśród grzmienia gongów rozległ się głos Degiala:

– Nie zjawię się, bo nie znoszę wzroku ludzkiego! Chcę na wieki dla ciebie pozostać niewidzialnym! Wolę przemówić, abyś słyszał me słowa, nie widząc mej twarzy. Znieważyłeś mnie, zaciskając pięści i tupiąc nogą o ziemię. Zemszczę się na tobie za moją zniewagę! Jesteś mały i bezsilny wobec mojej potęgi. Mógłbym cię zabić jednym poruszeniem moich brwi, gdyby cię nie bronił amulet. Potrafię jednak inną zemstę wykonać. Uważasz się za człowieka niezwykłego i potężnego. Wydaje ci się, że na całym świecie nie ma nikogo, kto byłby ci równy i do ciebie podobny. Ukarzę twą dumę i zarozumiałość. Z pomocą jednego skinienia mej dłoni stworzę człowieka jak dwie krople wody podobnego do ciebie.

– Stwórz! – zawołałem gniewnie i znowu tupnąłem nogą o ziemię.

W tym miejscu, gdzie nogą o ziemię uderzyłem, zjawił się nagle, jak spod ziemi, człowiek tak do mnie podobny, że z przerażenia o krok się cofnąłem przed moim sobowtórem. Miał moją twarz i oczy, i wzrost, i nawet ubranie. Stał nieruchomy i zamyślony. Nie raczył nawet spojrzeć na mnie, ani mi się ukłonić.

A i ja stałem bez ruchu, zdjęty przerażeniem.

Obojętność mego sobowtóra zaczęła mnie niecierpliwic, więc wreszcie szepnąłem nieśmiało:

– To – ja! Czy mnie nie widzisz?

– Widzę, ale mało mnie twoja obecność obchodzi – odpowiedział sobowtór.

– Powiedz mi przynajmniej, jak się nazywasz? – spytałem lękliwie.

– Nazywam się Hindbad – odpowiedział sobowtór moim własnym głosem.

– Hindbad? – zawołałem ze śmiechem, wzgardliwie wruszając ramionami. – Przecież jest to moje własne imię, zepsute, przekrecone i skoślawione przez króla Miraża.

– Więc cóż z tego? – rzekł sobowtór. – Wolę nosić imię, które sam król raczył przekreślić i skoślawić, niż to, które ty nosisz – nieznany cudzoziemcze.

– Nieznany? – zawołałem z gniewem. – Mylisz się, nazywając mnie nieznanym. Nie wiesz chyba o tym, że jutro będę królem, władcą połowy potężnego królestwa!

– Nie ty, lecz ja będę jutro królem i władcą połowy potężnego królestwa – odpowiedział spokojnie Hindbad.

Zaśmiałem się i rzekłem drwiąco:

– Do widzenia, mój drogi Hindbadzie! Spieszno mi w drogę powrotną, gdyż nie mogę się spóźnić na mój ślub z piękną Piruzą, córką króla Miraża. Nie mam czasu na pogadanki z tobą.

Odwrociłem się i poszedłem w kierunku brzegu – do miejsca, gdzie łódź zostawiłem.

Hindbad poszedł w ślad za mną.

Ujrawszy łódź z dala, przynagliłem kroku i wskoczyłem do łodzi. Hindbad wskoczył w ślad za mną.

Obecność jego w łodzi napełniła mnie niepokojem. Czułem wstręt niepokonany do tego tworu, który powstał na czarnoksiężskie skinienie niewidzialnego Degiala. Ogarnęły mnie złe przeczucia.

Odbiłem łódź od brzegu i, gdy wypłynęła na otwarte morze, postanowiłem wrzucić Hindbada do morza i pozbyć się w ten sposób jego tajemniczej i natrętnej obecności.

Lecz Hindbad odgadnął moje zamiary.

– Chcesz mnie wrzucić do morza? – spytał z uśmiechem.

– Chcę! – odrzekłem i wyciągnąłem dłonie, aby go pochwycić.

Hindbad spojrział na mnie tak dziwnie, że dłonie mi opadły i zdrętwiały. Nie mogłem nimi poruszyć.

– Nie rozumiem, dlaczego chcesz się koniecznie pozbyć mej osoby? – zauważył Hindbad, udając zdziwienie. – Przecież jestem ci równy. Powinieneś mnie czcić i kochać jak siebie samego. Mam twój głos, twoje oczy, twoją twarz i nawet twoje ubranie. Jestem tak samo jak ty odważny i mądry. Musisz mi przyznać, iż zasługuję na to, aby się stać mężem pięknej Piruzy, zięciem króla Miraża i władcą połowy królestwa.

Nic nie odpowiedziałem Hindbadowi.

Ponieważ ręce moje, dotknięte drętwotą, odzyskały władzę, więc chwyciłem za wiosła i zacząłem wiosłować.

Płynęliśmy dalej w milczeniu, przyglądając się sobie nawzajem drwiąco i uważnie. Hindbad był tak dalece do mnie podobny, iż zdawało mi się chwilami, że widzę własne odbicie w lustrze. Nie on sam, lecz jego podobieństwo przerażało mnie i budziło obawy, szczególnie teraz, gdy czułem pod sobą tajemniczą głębinę morską, a w pobliżu – nikogo, prócz tej wrogiej, choć podobnej do mnie postaci Hindbada.

Siedział naprzeciwko, zaglądał mi w oczy i milczał. Milczenie jego zaczęło mnie niecierpliwic i złościć.

– Czemu milczysz? – spytałem.

– A ty – czemu milczysz? – spytał z kolei Hindbad.

– Milczę dlatego, że nie mam ci nic do powiedzenia! – odrzekłem.

– I ja milczę dlatego, że nie mam ci nic do powiedzenia! – odparł tak samo dumnie Hindbad.

– Czy myślisz, mój panie Hindbadzie, że jestem przewoźnikiem na twoich usługach i że całą drogę będę sam wiosłował?

– Możemy wiosłować na przemian, mój panie Sindbadzie – odpowiedział Hindbad i odebrał mi z rąk obydwie wiosła.

Wiosłował niedbale i od niechcenia. Mimo to, łódź sunęła szybko, jakby gnana siłą niewidzialną. Strachem mnie przejął ten dziwny bieg łodzi, lecz nie chciałem okazać strachu przed Hindbadem. Udałem, że nie zauważyłem nawet, iż łódź płynie szybciej, niż płynąć powinna, gdyż Hindbad prawie wcale wiosłami nie poruszał.

Patrzył mi w oczy i milczał i coraz bardziej znieruchamiał wiosła. Przestał wreszcie zupełnie wiosłować, lecz łódź mimo to płynęła z błyskawiczną szybkością, gnana niewątpliwie siłą niewidzialną.

W milczeniu dobiliśmy do brzegów wyspy króla Miraża.

Wyskoczyłem na brzeg. Hindbad wyskoczył w ślad za mną.

Teraz dopiero zauważyłem, że na wyspie Degiala spędziłem cały dzień i noc następną i że powróciłem do państwa króla Miraża akurat w dzień mego ślubu, który dziś właśnie miał się odbyć. Był poranek.

Udałem się wprost drogą do pałacu, aby powitać jak najprędzej stęsknioną do mnie Piruzę i oczarowanego moją mądrością króla. Szedłem z pospiechem. Z tym samym pospiechem szedł w ślad za mną Hindbad. Gdyśmy się do pałacu zbliżali, uczułem nagle, że nogi drętwieją pode mną i że przebieram nimi bezskutecznie, nie poruszając się z miejsca, jak to czasem we śnie się zdarza, gdy się biegnie pozornie, a jednocześnie w miejscu się stoi pomimo wysiłków.

Nadaremnie mocowałem się ze sobą, nadaremnie przebierałem nogami, chcąc zbliżyć się do pałacu. Zdrętwiałe moje nogi poruszały się wprawdzie, ale wciąż na jednym miejscu. Bez wątpienia – byłem zaklęty.

Tymczasem Hindbad mnie wyprzedził i sam, beze mnie, wszedł do pałacu. Bezsilny i przerażony czekałem, aż nogi moje pozbędą się dziwnego zdrętwienia. Po chwili – zakłęcie pierzchnęło, zdrętwienie minęło. Mogłem iść swobodnie. Pobiegłem więc do pałacu i udałem się wprost do komnaty królewskiej. Zastałem Hindbada w objęciach króla Miraża, który ze łzami w oczach dziękował mu za szybki powrót, biorąc oczywiście Hindbada za mnie.

Piruzą stała obok i z radością przyglądała się Hindbadowi.

– Drogi Hindbadzie! – mówił król. – Niepokoił mnie bardzo twój długi pobyt na wyspie Degiala. Bałem się, że zginiesz i nigdy cię już nie zobaczę!

– Ja zaś byłem pewna twej mądrości i twego męstwa! – szepnęła dumnie Piruzą. – Twierdziłam bez ustanku, że Hindbad zginąć nie może!

– Miałaś słuszność – odpowiedział Hindbad. – Jestem zbyt męzny i zbyt mądry, żebym mógł zginąć w walce nawet z tak potężnym duchem, jak Degial.

Słyszałem tę rozmowę, bo właśnie wpadłem do komnaty i stałem w pobliżu. Zawrzałem gniewem, serce zakolało mi w piersi, zrobiłem krok naprzód i zawołałem:

– Królu Miłościwy! Czyż nie widzisz swej własnej pomyłki?

Król spojrział na mnie. Spojrzała jednocześnie Piruzą. Zdziwił się król. Zdziwiła się jednocześnie Piruzą. Ujrzeni bowiem w komnacie dwóch ludzi tak podobnych do siebie, jak dwie krople wody.

– Co to znaczy? – zawołał król. – Skąd takie podobieństwo? W głowie mi się miesza! Zamiast jednego, widzę na własne oczy dwóch przyszłych moich zięciów, z których wszakże jeden tylko może być prawdziwy!

– A ja widzę dwóch moich przyszłych mężów! – szepnęła zrozpaczona i przerażona Piruzą. – Któregoż z nich mam dzisiaj poślubić?

– Mnie! – rzekł Hindbad spokojnie.

– Milcz, podły kłamco! – zawołałem z oburzeniem. – Nie ty, lecz ja jestem narzeczonym Piruzy! Królu Miłościwy, strzeż się tego potwora i nie daj się opętać jego podobieństwem do mnie! Stworzył go umyślnie Degial, aby się zemścić na mnie za to, że go obraziłem na jego własnej wyspie. Jest to twór sztuczny i czarnoksiężski, którego Piruzą poślubić nie powinna! Od chwili swych narodzin na krok mnie nie odstępował, towarzyszy mi wszędzie. Przed samym pałacem zdrętwił mi nogi, abym nie mógł ciebie i Piruzy uprzedzić o tym, co się stało!

Król się zamyślił, potarł dłonią zamyślane czoło i rzekł wreszcie do mnie w zamyśleniu:

– Jak ci na imię?

– Sindbad – odrzekłem.

– A ty, jak się nazywasz? – ciągnął dalej król, zwracając się do Hindbada.

– Hindbad – odparł mój sobowtór.

– O ile pamięć mnie nie myli – mój przyszły zięć nazywał się właśnie Hinbad – zawyrokował król, znowu pocierając czoło.

– O, tak! Hindbad mu było na imię! – potwierdziła radośnie Piruza.

– Królu! Piruzo! – wołałem zrozpaczony. – Zawsze mi było na imię Sindbad, lecz wyście to imię nieustannie przekręcali i koślawili! Przypomnijcie sobie, ile razy was poprawiałem? Ile razy prosiłem, abyście nie nazywali mnie Hindbadem, lecz Sindbadem!

– To prawda, że ja i Piruza mamy zwyczaj przekręcania imion i nazwisk – odpowiedział król.

– Nigdy jednak nie pamiętamy, jak zostały przekręcone, i zawsze imię przekręcone uważamy za prawdziwe, a prawdziwe za przekręcone. I tym razem nie odstępimy od swego zwyczaju. Zdaniem naszym, młodzieniec, na mego zięcia i na męża Piruzy przeznaczony, nazywał się Hindbad.

Hindbad krokiem triumfującym zbliżył się do króla i rzekł, z pogardą wskazując mnie palcem:

– Bardzo mi przykro, Królu Miłościwy, że jestem tak podobny do tego podejrzanego cudzoziemca. Zaręczam ci jednak, że nie łączy nas nic, prócz przypadkowego podobieństwa. Ja bowiem należę do ludzi uczciwych i szlachetnych, ten zaś cudzoziemiec jest nikczemnym złodziejem! Skradł mi amulet, który dostałem na drogę od pięknej Piruzy. Możesz, królu, naocznie przekonać się o prawdzie moich słów, spojrzawszy na szyję tego cudzoziemca, gdyż zawiesił sobie skradziony amulet na szyi, zapominając o tym, iż w ten sposób zdradza jawnie popełnioną kradzież.

Król i Piruza spojrzeli na moją szyję i zawołali z oburzeniem:

– A złodziej! A łotr! A zbrodniarz! A bezczelnik! Nawet nie postarał się o to, aby przed wzrokiem ludzkim ukryć przedmiot skradziony!

– Sprawiedliwości! – jęknąłem. – Jestem niewinny! Nigdy dłonie moje nie pokalały się kradzieżą! Piruzo, droga Piruzo! Czyż nie przypominasz sobie, żeś własnoręcznie zawiesiłaś mi na szyi amulet, aby mnie uchronić od napaści Degiała! Nie uchroniłaś mnie jednak od jego zemsty okropnej! Duch niewidzialny mści się na mnie i zadaje mi męczarnie nie do zniesienia! Piruzo! Do ciebie zwracam się o pomoc, o ratunek! Ty jedna możesz mnie zbawić! Spójrz na mnie uważnie, a samo serce szepnie ci, kim jestem! Serce się nie omyli! Zabije, zatrzepece w piersi i rozpozna prawdę od kłamstwa, odróżni Sindbada od Hindbada i odsłoni nareszcie twym oczom, kto jest twym przyszłym mężem, a kto – niegodnym ciebie oszustem!

– Spójrz, Piruzo, spójrz! – zwołał król Miraż. – Spójrz na jednego, potem na drugiego, a potem na obydwóch jednocześnie. Rządź się sercem i wskaż mi tego, którego serce twoje wybierze.

Piruzo spojrzała najpierw na mnie, potem na Hindbada, potem jednocześnie na nas obydwóch i wreszcie szepnęła nieśmiało:

– Serce mi wskazuje obydwóch i żadnego z nich nie wyróżnia. Obydwaj są zarówno mili, zarówno piękni i zarówno wymowni. A tak są do siebie podobni, że właściwie wszystko mi jedno, który z nich mężem moim zostanie. Ufam bowiem jednemu i drugiemu i żadnego z nich, dotychczas przynajmniej, nie podejrzewam ani o kradzież, ani o oszustwo. Toteż myślę, iż najlepiej zrobię, jeśli to nieporozumienie w inny zgoła sposób rozstrzygnę. Istnieje w moim kraju obyczaj, że narzeczony w dzień ślubu podarek dla swej narzeczonej przynosi. Nie wątpię, iż obydwaj ci młodzieńcy zaopatrzyli się w podarki ślubne, aby mi niespodziankę sprawić. Otóż wybieram na męża tego, który mi podarek piękniejszy i niespodziankę miłszą przygotował.

Piruzo zamilkła, a ja struchlałem. Wypadki dnia wczorajszego, grzmienia gongów niewidzialnych, rozmowa z Degiałem, nagłe narodziny Hindbada – wszystko to razem tak przytłoczyło i rozproszyło moje myśli, że zapomniałem zupełnie o zaopatrzeniu się w podarek ślubny. Zawstydzony, spuściłem oczy i milczałem.

– Gdzie masz swój podarek? – spytał drwiąco Hindbad.

– Nie mam żadnego – szepnąłem głosem złamanym.

Piruzo ze wstrętem i oburzeniem odwróciła się do mnie plecami.

Hindbad podbiegł ku niej, wyjął z kieszeni księgę w złotej oprawie i podał, mówiąc:

– Oto jest mój podarek.

Piruzę z uśmiechem radości przyjęła księgę złotą, a Hindbad mówił dalej:

– Nie jest to księga zwykła. Przeciwnie – jest to księga niezwykła. Dziwna, najdziwniejsza ze wszystkich ksiąg na świecie. Zapewne ci wiadomo, piękna Piruzo, że z powodu nieustannego brzmienia gongów żadna roślina, żaden zwierz, żaden człowiek nie mógł istnieć na wyspie Degiała. Wszystko tam powoli zamarło. Lecz potężny Degiał zamienił w malowidła – oszołomione dźwiękami gongów rośliny, zwierzęta i mieszkańców tej wyspy. Z tych malowideł duch niewidzialny ułożył księgę i przechowywał ją w szczelinie skalnej, jako pamiątkę kwitającego niegdyś życia i wesela. A wszystko tu żyje i śpiewa i porusza się w tej książce – tylko w zmniejszeniu. Zobaczysz tu zmniejszone drzewa, zmniejszonych ludzi i zmniejszone zwierzęta. Pomimo zmniejszenia życie w tej księdze płynie tak, jak niegdyś płynęło na wyspie. Za zimą idzie wiosna, za wiosną – lato, za latem jesień. Mieszkańcy tej księgi sieją i orzą, i budują nowe pałace, i wyprawiają huczne wesela, i śmieją się, i płaczą, i grzebią swych umarłych, i witają swych nowo narodzonych. Musiałem walczyć z Degiałem, aby mu tę księgę odebrać. Walka była straszna i niebezpieczna. Chętnie jednak naraziłem swe życie, byleby tylko przynieść ci w podarku ślubnym tę księgę. Zajrzyj do niej, a zobaczysz, że jest cudowna.

Piruzę otworzyła księgę i krzyknęła ze zdziwienia i radości.

Na kartach cudownej księgi barwiły się malowidła żywe, zupełnie żywe. Wiosna właśnie nastawała, wiosna buchnęła wonią i słońcem z kart tajemniczej księgi. Zmniejszeni ludzie wychodzili ze zmniejszonych pałaców na zmniejszone ulice. Biegli po ulicach na zmniejszone łąki i na zmniejszonych łąkach zrywali zmniejszone kwiaty.

Piruzę zbliżyła do księgi swoje różowe uszko i postawiła wyraźnie daleki głos zmniejszonych ludzi. Wszyscy chórem wołali: „Wiosna, wiosna!” I słyszał było śpiew i ćwierkanie zmniejszonych ptaków, które siedziały na zmniejszonych drzewach.

Piruzę z zachwytem oglądała księgę, aż wreszcie spytała Hindbada:

– Czy mogę sięgnąć dłonią w głąb tych malowideł, aby wyjąć stamtąd jednego z tych zmniejszonych ludzi i przyjrzeć mu się z bliska?

– Możesz – odpowiedział Hindbad – uczyni to jednak ostrożnie, aby nie zdruzgotać pałaców, nie połamać drzew i nie sparzyć ręki o to małe słońce, które tam świeci na ich zmniejszonym niebie.

Piruzę ostrożnie sięgnęła dłonią w głąb malowidła, wyjęła stamtąd jednego zmniejszonego człowieka i postawiła go sobie na dłoni.

Był tak mały jak szpilka. Dumnie i hardo chodził po dłoni Piruzę.

– Kto jesteś? Jak się nazywasz? – spytała Piruzę.

– Nazywam się Omar Czwartý, zwany Wielkim albo też Wspaniałym – odpowiedział człowieczek. – Jestem królem w swej ojczyźnie. Trzymaj mnie ostrożnie na dłoni i nie upuść czasem na podłogę, bo mógłbym się zabić na miejscu i w ojczyźnie mojej nastaloby straszne bezkrólewie! Wyznam ci szczerze, iż nie lubię tych waszych zwiększonych ptaków, zwiększonych pałaców i zwiększonych ludzi. Wolę żyć w zmniejszeniu, które bardzo dobrze wpływa na moje zdrowie i na moją wesołość. Prócz tego muszę ci zauważyć, że zbyt długo trzymasz mnie na dłoni i odbierasz mi czas drogocenny, który poświęcam zazwyczaj zawiłym sprawom mego państwa. Pozwól mi więc na pożegnanie złożyć ci na twej własnej dłoni mój ukłon królewski i przenieś mnie z powrotem na łono mej ojczyzny.

Człowieczek się skłonił – i Piruzę włożyła go z powrotem do wnętrza malowidła.

Wnet go otoczył kołem tłum zmniejszonych ludzi, witając radośnie powrót swego króla, którego zbyt długi pobyt po za granicami kraju mógł bardzo źle wpłynąć na losy państwa.

Piruzę zamknęła księgę i zawołała:

– Słów mi brak, Hindbadzie, aby ci podziękować za tak cudowną niespodziankę! Nie marzyłam nawet o tak czarownym podarku! Ciebie wybieram na męża! Widzę teraz, że jesteś szlachetny i

mądry. Nie wątpię w to, że ty właśnie jesteś owym młodzieńcem, który odgadł zagadkę królewską. Zaś tamten cudzoziemiec – jest nikczemnym złodziejem i oszustem!

– Królu! Piruzo! – zawołałem. – Błagam was o jedno: kaźcie Hindbadowi powtórzyć treść tej zagadki, aby zbadać i sprawdzić, czyli ją słyszał i czy był obecny na placu wówczas, gdy król ją sam przed tłumem wygłosił?

– Dość tych badań i sprawdzeń! – rzekła gniewnie Piruza. – Badania te i sprawdzania obrażają dumę mego przyszłego męża. Wierzę Hindbadowi i kocham Hindbada. Nie zniosę dłużej obecności w naszym pałacu tego nikczemnego cudzoziemca!

I, zwróciwszy się do mnie, Piruza tupnęła nogą o ziemię i zawołała:

– Precz z mych oczu!

– Precz z mych oczu! – zawołał król w ślad za Piruzą.

– Precz z mych oczu! – zawołał Hindbad w ślad za królem.

Nie chcąc się narażać na nowe zniewagi i obelgi, odwróciłem się i wyszedłem.

Na ulicy ochłonałem z gniewu i oburzenia, lecz na ich miejsce przyszedł żal i rozpacz bez granic!

W ciągu jednej chwili straciłem wszystko, co zdobyłem też w ciągu chwili jednej. Straciłem Piruzę, straciłem pół królestwa, straciłem koronę, która za kilka godzin miała ozdobić moje czoło!

Straszna była zemsta Degiała! Straszna i nieprzewidziana.

Godzina ślubu mego z Piruzą zbliżała się, lecz nie ja, tylko Hindbad miał teraz poślubić piękną Piruzę.

Przed pałacem zgromadzili się właśnie rycerze konni i złote karoce, i cała świta królewska. Na tarasie pałacowym zagrzmiała kapela, huczna i radosna. Grano marsza ślubnego.

Ukryłem się za drzewem pobliskim, aby z daleka widzieć uroczystość, w której miałem brać udział czynny, a której bohaterem został niespodzianie – Hindbad.

Wkrótce król Miraż, królowa Piruza i Hindbad wyszli wesoło z pałacu, dosiedli rumaków i skierowali się w stronę świątyni, gdzie sam arcykapłan¹⁶ miał młodą parę poślubić.

W ślad za nimi ruszyli rycerze konni, złote karoce z damami dworskimi i cała świta królewska.

Poznałem od razu rumaki, na których jechał król, Piruza i Hindbad. Galopowały cudownie i tanecznie, naśladując ruchy Konia Morskiego. Serce mi się w piersi ścisnęło boleśnie. Jeden z tych rumaków przeznaczony był dla mnie. Na takim właśnie rumaku, obok takiej właśnie królowny miałem się udać do świątyni, aby potem przywdziać na skronie koronę królewską.

Lecz zamiast mnie – Hindbad siedział na tym rumaku.

Zamiast mnie – Hindbad upajał się szczęściem i powodzeniem.

Tłumy ludzi patrzyły nań z podziwem. Ukryty za drzewem słyszałem, jak wołano naokół:

– Niech żyje Hindbad! Niech żyje Hindbad!

Imię moje, skoślawione przez króla i królownę, grzmiało teraz w powietrzu jak imię przyszłego króla!

Nikt nie znał, nikt nie widział, nikt od niechcienia nawet okiem nie rzucił na prawdziwego Sindbada, który samotnie ukrył się za drzewem, aby oglądać i zazdrościć, zamiast być przedmiotem zazdrości i oglądania. Objąłem pień mego drzewa i po raz pierwszy w życiu rozplakałem się rzewnymi łzami. Wstyd mi było moich własnych łez, lecz nie mogłem ich powstrzymać.

Płynęły strugami, strumieniami, skapując obficie na ziemię i zbierając się u stóp moich w małą, lecz dość głęboką kałużę.

Płakałem zapewne długo, bardzo długo, tak nieskończenie długo, że w czasie mego płaczu Hindbad zdążył poślubić Piruzę i wkrótce ujrzałem cały orszak ślubny, powracający do pałacu.

Wówczas przestałem płakać, lecz nie opuściłem mego drzewa.

¹⁶ arcykapłan – najwyższy dostojnik religijny. [przypis edytorski]

Stałem wciąż, stałem uparcie, niestrudzenie, niezmordowanie, aż noc wreszcie zapadła i gwiazdy rozbłyły w niebiosach.

Okna pałacu rozjarzyły się tysiącem świateł rześistych. Kapela grzmiała. Na szybach okien co chwila migały podwójne cienie tańczących par. Zgadywałem, stojąc za drzewem, które z tych cieni należą do pana młodego i do panny młodej. Poznałem je po tym, że były błękitniejsze od innych cieni, które się po szybach przesuwają. Zapewne wyblękitniła je radość i szczęście.

I dziwno mi było pomyśleć, że tam, w tym rześiście oświetlonym pałacu, za szybami, za ścianami weseli się i tańczy w tej chwili z moją narzeczoną człowiek, do mnie podobny jak dwie krople wody, lecz mimo podobieństwa – wrogi mi i wstrętny, i nienawistny.

O północy, znużony łzami, wsparłem się o pień mego drzewa i zasnąłem snem ciężkim i boleśnie twardym. Spałem tak do poranka, gdy mnie nagle zbudziło czyjeś dotknięcie. Rozwarłem od łez osłepłe i zbolące oczy, aby zobaczyć, kto mnie dotknął.

Koło mnie stała staruszka. Koścista jej ręka dotykała właśnie mych pleców.

– Zbudź się, zbudź! – szepnęła staruszka.

Spojrzałem na nią i nie mogłem ukryć zdziwienia. Nigdy jeszcze nie widziałem tak starej, tak kościstej i tak trzęsącej się kobiety. Mówiła nie głosem, ale szmerem. Szmer jej ust rozsypywał się w powietrzu, jak szelest suchego papieru. Oczy jej zapadły się tak głęboko, że nie było ich widać. Twarz pokryta była mchem siwym, a na brodzie wyrastał grzyb, muchomorem zwany. Co chwila kościstą dłonią głaskała swój muchomor, jakby się chciała przekonać, czy tkwi jeszcze na miejscu i czy dobrze rośnie. Sądząc na oko, miała chyba lat tysiąc z górą.

– Czemu mnie budzisz? – spytałem.

– Budzę, aby cię uprzedzić o niebezpieczeństwie – zaszemrała staruszka.

– Kto jesteś? – rzekłem głosem znużonym i sennym.

– Zdziwisz się, gdy powiem, kto jestem – zaszemrała znowu staruszka. – Jestem matką Degiała, lecz mam dla ciebie litość i życzliwość. Mąż mój był słynnym w mieście szewcem. Gdy Degiał na świat przyszedł, ucieszyłam się, myśląc, że będzie godnym swego ojca następcą i zajmie się uczciwym i szlachetnym rzemiosłem szewskim. Lecz Degialek już w ósmym roku swego życia był dziwakiem, zawracał głowę cudami i czarami, okazywał pogardę dla swych własnych rodziców i oświadczył stanowczo, że woli zostać duchem niewidzialnym, aniżeli najslawniejszym w mieście szewcem. I ja, i mój mąż drwiliśmy z jego zamiarów i błagaliśmy, aby się zajął pracą sumienną, uczciwą i szlachetną. Lecz był uparty, nie zważał na nasze drwiny i błagania i twierdził, iż czuje w sobie powołanie do sztuki czarnoksięskiej. Daremnie i ja, i mój mąż nieboszczyk tłumaczyliśmy mu codziennie, iż powinien słuchać naszych rad doświadczonych i uczyć się rzemiosła szewskiego. Nie chciał się uczyć i dzięki wrodzonym zdolnościom czarnoksięskim z dniem każdym stawał się dla nas coraz bardziej niewidzialny. Degialek od dziecka nienawidził ludzi, zwierząt i roślin. Kochał tylko muzykę. W pokoju swym nagromadził tysiące rozmaitych gongów i uderzał w nie po całych dniach i nocach. Nieustanne brzmienia gongów odbierały sen mnie i mojemu mężowi nieboszczykowi. Spędzaliśmy noce bezsenne, które nas wycieńczyły i pozbawiły sił do pracy. Toteż dnia pewnego i ja, i mój mąż nieboszczyk tak rzekliśmy do Degiała: „Niedobry synu, nie tylko stajesz się dla nas coraz bardziej niewidzialny, lecz na domiar złego odbierasz nam sen dźwiękami gongów i narażasz nas na wycieńczenie i chorobę. Prosimy cię oboje, abyś zaniechał gry na gongach i abyś przestał stawać się niewidzialnym. Jeśli nadal będziesz trwał w uporze i nieposłuszeństwie, wyrzekamy się ciebie na wieki! Nie chcemy mieć bowiem syna niewidzialnego, który nic innego nie robi, tylko po całych dniach i nocach gra na gongach. Nie po to wszakże ojciec na byt twój pracuje i nie po to matka na świat cię zrodziła, abyś się bawił w niewidzialność i grał na gongach, zamiast się zając uczciwym rzemiosłem szewskim”. W odpowiedzi na te nasze słowa i przestrogi Degiał zniknął nam z oczu. Stał się zupełnie niewidzialny. Przekleliśmy go oboje za upór, nieposłuszeństwo i za naganne przywiązanie do czarów. Odtąd Degiał opuścił dom rodzicielski i zamieszkał wraz ze swymi gongami na wyspie Kassel, gdzie panuje jako duch potężny, potworny i niewidzialny. Dźwiękami gongów

odbiera przytomność wszelkim stworzeniom, sieje dokoła śmierć i postrach i nie myśli o tym, aby się zająć pracą uczciwą i szlachetną. Chociaż jest moim synem, nienawidzę go z całego serca za jego wyrodną niewidzialność i potworność. Dlatego też chcę cię uprzedzić o zamysłach Degiala. Czuje on nienawiść nie tylko do ciebie, lecz i do Hindbada, choć sam go stworzył i zaopatrzył w księgę czarodziejską. Ciebie nienawidzi za to, że go znieważył, a Hindbada za to, że jest do ciebie podobny. Postanowił wtedy zabić ciebie i Hindbada, złożyć was obu w jednej trumnie i pochować w jednym grobie.

Dreszcz mnie przeszedł od stóp do głowy na myśl, że mogę się znaleźć w jednym grobie z moim wrogiem, który jest do mnie jak dwie krople wody podobny. Straszny byłby grób, gdzie spoczęłyby dwa takie trupy! Któż by się pomodlił na takim grobie? Któż by wiedział, za kogo ma się modlić – czy za duszę Sindbada, czy za duszę Hindbada? Nawet po śmierci ścigałoby mnie to okropne podobieństwo! Musiałbym się przez wieki całe dzielić trumną i grobem, i snem wiekuistym, i ciszą mogilną z moim wrogiem, z moim sobowtorem, z istotą potworną, bo stworzoną sztucznie i zgoła po czarnoksiężku.

– Dobra staruszeko! – zawołałem zrozpaczony. – Poradz mi, co mam uczynić, aby uniknąć tego niebezpieczeństwa?

– Degial zajęty jest dopiero przygotowaniem czarów i zaklęć odpowiednich, aby z ich pomocą zgładzić ciebie i Hindbada. Udaj się natychmiast na brzeg morza, stoi tam właśnie okręt, który za chwilę ma do Balsory odpłynąć. Wsiądź na ten okręt i wróć do Bagdadu. Unikniesz tym sposobem wszelkiego niebezpieczeństwa. Wówczas Degial, nie mogąc ciebie dosięgnąć, zostawi w spokoju Hindbada i pozwoli mu żyć nadal w chwale i szczęściu.

Podziękowałem matce Degiala za dobrą radę. Zabolalo mnie wprawdzie to, że ratując siebie, ratuję jednocześnie Hindbada, przedłużając jego szczęście i chwałę. Wołałem jednak przyczynić się mimo woli do jego chwały i szczęścia, aniżeli znaleźć się z nim w jednym grobie. Pożegnałem staruszkę i co tchu pobiegłem na brzeg morza.

Stał tam rzeczywiście okręt, który za chwilę miał do Bagdadu odpłynąć.

Siadłem na okręt i wkrótce wypłynąłem na morze, oddalając się coraz bardziej od brzegów wyspy króla Miraża.

Dopłynąłem szczęśliwie do samej Balsory bez żadnych przygód i wypadków. Z Balsory udałem się konno wprost do Bagdadu. Widok miasta rodzinnego nappełnił mnie radością. Przynagliłem konia do biegu i wkrótce stanąłem przed moim pałacem. Wbiegłem do pałacu i zastałem wuj Tarabuka przy stole. Siedział i kończył właśnie wiersz pod tytułem: *Topola wśród pola*. Chciałem go uścisnąć, lecz wuj Tarabuk zawołał:

– Bądź cierpliwy i nie przerywaj mi natchnienia. Stój za mną dopóty, dopóki nie skończę wiersza, w którym opisuję pewną topolę, stojącą samotnie na samym środku pewnego pola.

Stałem cierpliwie, czekając, aż wuj Tarabuk wiersz swój ukończy.

Wuj Tarabuk ukończył wreszcie, położył pod wierszem swój podpis i wówczas dopiero rzucił mi się na szyję.

– Więc powróciłeś, mój drogi, mój jedyny siostrzeńcze! – wołał ze łzami w oczach. – Myślałem, że zginąłeś w krajach nieznanach. Niepokoilem się o ciebie niezmiernie. Jedyłą pociechą było dla mnie pisanie wierszy. Nie udało mi się wprawdzie wyłowić z morza moich rękopisów, lecz za to napisałem tyle nowych wierszy, że zupełnie o dawnych zapomniałem. Wróciła mi moja wesołość i równowaga ducha. Już wymawiam słowa całkowicie, zamiast je urywać na środkowych sylabach. Zresztą od czasu twego wyjazdu nic nowego nie zaszło. Wszystko po staremu. Skarby swoje i majątki zastałeś w porządku i w całości. Masz, jak dawniej, sto pałaców, sto ogrodów, sto worów złota i sto beczek srebra. Zginął tylko trzonowy ząb twego pradziada. Złodziej w nocy wdarł się do pałacu, lecz nie zdążył ukraść nic, prócz szkatułki hebanowej ze zbolalym zębem twego pradziada. Przyłapałem go na gorącym uczynku, lecz uciekł przez okno i nie zdołałem go dogonić.

Zmartwiła mnie bardzo strata zęba pamiątkowego i wuj Tarabuk z właściwą sobie bystrością umysłu natychmiast spostrzegł i zrozumiał moje zmartwienie.

– Nie martw się, mój drogi! – zawołał. – Powinieneś się radować, że powróciłeś cało do domu. Mam nadzieję, że zaniechasz odtąd wszelkich podróży i że już nigdy nie opuścisz miasta rodzinnego. Pomyśl, jak to będzie dobrze i pięknie, i spokojnie, gdy razem ze mną będziesz mieszkał pod jednym dachem, razem ze mną będziesz chodził na spacer i razem ze mną będziesz śniadał, obiadował i wieczerał. Czyż nie lepszy jest taki żywot domowy, niż niebezpieczeństwa podróży?

Nic nie odpowiedziałem na to wujowi.

Odtąd wszakże pędziłem żywot spokojny w moim pałacu. Razem z wujem Tarabukiem chodziłem na spacer i razem z nim śniadałem, obiadowałem i wieczerałem. Wuj Tarabuk odczytywał mi głośno swoje utwory, aby mnie rozerwać i czas mi uprzyjemnić.

Rok cały zbiegł mi na tego rodzaju rozrywkach.

Po roku jednak życie domowe zaczęło mi ciężać. Żądza podróży wracała ze zdwojoną mocą. Śniła mi się często Piruza i król Miraż. A jeśli nawet przyśnił mi się Hindbad i Degiał, nie czułem do nich we śnie żadnej nienawiści. Znow zapragnąłem przygód niespodzianych, chociażby te przygody miały mi przynieść smutek i nieszczęście.

Pewnej nocy śnił mi się kraj nieznan i daleki. Cały mój sen nappełnił się tym krajem. Zbudziłem się nazajutrz dziwnie zadumany. Dumałem rzeczywiście o nowej podróży. Postanowiłem dziś jeszcze pożegnać się z wujem Tarabukiem i opuścić miasto rodzinne.

Przygoda druga

Przy śniadaniu porannym oświadczyłem wręcz wujowi Tarabukowi, że dziś wieczorem stanowczo opuszczam Bagdad. Wbrew moim oczekiwaniom, wuj Tarabuk ani się zdziwił, ani zaniepokoił, ani oburzył. Z lekka jeno przymrużył oczy, wydał nieco wargi i rzekł z przekąsem:

– Dlaczego opuszczasz Bagdad – mogę jeszcze jako tako zrozumieć, ale dlaczego dotąd nie raczyłeś mi opowiedzieć pierwszej twojej przygody – tego zrozumieć nie mogę, nie chcę i nie potrafię. Urażasz mnie bardzo, okazując brak zaufania do wuja, którego ciekawość z pewnością dorównuje twojej żądzy podróży. Cierpliwie dotąd wyczekiwałem chwili, w której samochcąc opowiesz mi wszystko. Ponieważ jednak, zamiast oczekiwanej opowieści, usłyszałem dzisiaj z ust twoich postanowienie ponownego odjazdu, wtedy sam cię proszę, abyś przed odjazdem zaspokoił moją ciekawość.

– Drogi mój wuju – odrzekłem – głęboko i szczerze szanuję twoją ciekawość i chętnie ją zaspokoję. Słuchaj mnie uważnie, gdyż przygody moje godne są twoich uszu.

Wuj Tarabuk natężył uszu, otworzył na oścież oczy, rozchylił usta i nabrał tak dziwnego wyrazu twarzy, że trudno było orzec, czy osłupiał z ciekawości, czy też tylko znieruchomiał. Opowiedziałem znieruchomionemu, czy też osłupiałemu wujowi wszystko, co mi się zdarzyło podczas pierwszej mojej podróży. Podobał mu się niezmiernie król Miraż, oczarowała go Piruza, poczuł tylko wstręt do Hindbada oraz pewien rodzaj niechęci do Degiala.

– Drogi Sindbadzie! – zawołał, gdy skończył opowiadanie – Mam ci za złe, że nie potrafiłeś ująć Miraża i Piruzy odpowiednim podarunkiem. Muszę wyznać, iż czarodziejska księga, którą złożył jej w darze Hindbad, była skarbem niezmiernie rzadkim. Co do mnie – potrafiłbym zaćmić ów dar – skromniejszym, a jednak cenniejszym darem. Złożyłbym u stóp pięknej Piruzy wiersz na jej cześć napisany. Uwierz mi, że odwróciłaby oczy od czarodziejskiej księgi, aby je przenieść na świstek papieru, zapisany skromną ręką wielkiego poety. Hindbad odszedłby z kwitkiem, ja zaś pojąłbym za żonę piękną Piruzę. Dla ciebie, Sindbadzie, Piruza stracona jest na zawsze, lecz mam nadzieję pozyskania tej, którąś ty stracił. Czego siostrzeniec nie potrafił – wuj dokona. W tej chwili napiszę wiersz na cześć Piruzy, ty zaś wyrusz wprost do krainy Miraża i ciszkim wręcz mój wiersz pięknej Piruzie. Powiedz jej tylko trzy słowa: od wuja Tarabuka, to – wystarczy. Bądź pewien, że po odczytaniu mego wiersza, Piruza albo zażąda od męża natychmiastowego rozwodu, albo czarodziejską księgą rozbije łeb podłego Hindbada. Po rozbiciu tego łba lub po dopełnionym rozwodzie – Piruza przyśle po mnie do Bagdadu stu rycerzy, którzy nawet wbrew mojej woli i pomimo lekkiego z mojej strony oporu sprowadzą mnie do państwa króla Miraża, abym tam niezwłocznie poślubił niecierpliwą a oczarowaną moim wierszem Piruzę.

– Wuju! – zawołałem. – Nigdy już noga moja nie postanie w państwie króla Miraża! Dzień mego powrotu – byłby dniem mojej śmierci. Czyha tam na mnie niewidzialny Degial, a prócz tego widok Piruzy i Hindbada zbyt by mi zakrwawił serce!

Wuj Tarabuk nie słyszał moich słów. Siedział już przy stole z piórem w ręku i pisał. Minał poranek – a wuj Tarabuk pisał. Nastąpiło południe a wuj Tarabuk pisał. Pierwsza gwiazda zabłysła na niebie – a wuj Tarabuk pisał.

– Wuju! – szepnąłem zrozpaczony. – Muszę już w podróż wyruszyć! Przejazd z Bagdadu do Balsory wymaga całej nocy, a okręt z Balsory nad ranem od brzegów odbija.

Wuj Tarabuk pisał.

– Wuju! – krzyknąłem, szarpiąc go za ramię. – Nie mam czasu ani chwili! Odjeżdżam! Do widzenia!

Wuj Tarabuk pisał.

Wdziałem kapelusz na głowę i już byłem u drzwi, gdy wuj Tarabuk triumfująco zawołał:

– Skończyłem!

Głos wuja zatrzymał mnie w progu.

– Skończyłem! – powtórzył wuj, podbiegając do mnie i podając mi świstek papieru.

– Oddasz to Piruzie do rąk własnych! – wołał wuj Tarabuk. – Powiesz jej tylko te cztery słowa: skromny utwór wielkiego poety.

– Dobrze, dobrze! – rzekłem, chcąc jak najprędzej uwolnić się od natrętnego wuja.

Wybiegłem szybko z pokoju i po chwili byłem już na ulicy. Wuj Tarabuk wysunął głowę przez okno i zawołał:

– A pamiętaj powiedzieć Piruzie, żeby przysłała po mnie do Bagdadu stu rycerzy konnych! Będę wprawdzie stawiał opór, ale bardzo lekki!

Przyśpieszyłem kroku i wkrótce tak się oddaliłem od wuja Tarabuka, że już nie słyszałem jego głosu.

Nazajutrz z rana byłem już w Balsorze. Omal się nie spóźniłem, gdyż okręt za chwilę miał już odbić od brzegu. Zdyszany wbiegłem na pokład. Poranek był słoneczny. Radość rozpierała mi piersi, gdym uczułem, że okręt, z lekka się kołysząc, unosi mnie hen daleko – w kraje nieznanne. Wsparłem się łokciem o burtę okrętu i zapatrzyłem się w dal morską. Kołysanie okrętu wkrótce mnie uspiło. Przymknąłem oczy i oddałem się z rozkoszą snowi, ponieważ zmęczony byłem całonocną podróżą. Zaledwo sen oświadczył mi o władzę, a już poczułem, że wokoło mnie dzieją się jakieś czary. Fala, która z pluskiem uderzała o ścianę okrętu, rozpadła się nagle na dwoje i wynurzył się z niej znany mi dobrze łeb Diabła Morskiego.

– Jak się masz, Sindbadzie – rzekł Diabeł Morski, zaglądając mi do oczu swymi nieodpartymi ślepiami.

– Mam się nieźle – odpowiedziałem natychmiast, zdobywając się na ironię, nie pozbawioną wszakże strachu. – Nie rozumiem jednak, po co się wynurzasz z fali i ukazujesz moim oczom? Wcale nie jestem spragniony twego widoku.

– Stęskniłem się do ciebie – odrzekł Diabeł Morski – Byłem pewien, że rady moje utkwily głęboko w twym sercu i że w końcu opuścisz nudny dom wuja Tarabuka, aby na świecie szerokim szukać nowych przygód.

– Gnają mnie w świat nie twoje rady, lecz moje własne marzenia i żądze – odrzekłem z dumą.

– Tym lepiej, tym lepiej, – zauważył Diabeł Morski. – Zawsze się o to starałem, aby rady moje odpowiadały twoim żądzom i marzeniom. Mam do ciebie żal słuszny za to, że ongi list mój wrzuciłeś do głębin morskiej, zamiast go zachować przy sobie na pamiątkę. Znalazłem ten list w morzu i korzystam ze sposobności, aby go dzisiaj zwrócić tobie.

– Precz z tym listem! – zawołałem. – Nie po to go falam morskim oddałem, aby go znowu przyjąć z powrotem! Nie chcę tego listu! Brzydę się tym listem! Protestuję przeciw temu listowi!

– Nadaremne twe okrzyki! – odrzekł Diabeł Morski. – Poniechaj wszelkich wysiłków i sprzeciwień. Znieruchomię cię moim wzrokiem i wsunę list z powrotem do kieszeni.

I Diabeł Morski utkwil we mnie swe straszliwe ślepie. Czuję, że pod wpływem jego przenikliwych, nieodpartych spojrzeń tracę z wolna siły i nieruchomieję. Nadaremnie starałem się poruszyć ręką, nogą, głową... Znieruchomiały mi ręce, znieruchomiały nogi i znieruchomiała głowa. Wówczas Diabeł Morski, zauważywszy zapewne, iż stopień mego znieruchomienia jest dość wysoki, zbliżył się do mnie z przeklętym listem w pysku i wsunął mi list do kieszeni, po czym szepnął:

– Zbudź się – zbudź się – zbudź!

Zbudziłem się nagle i dotknąłem ręką kieszeni, chcąc zbadać, czy śniłem tylko, czy też rzeczywiście byłem igraszką Diabła Morskiego. Niestety – list zaszeleścił w kieszeni. Przerażony, wyciągnąłem go zowąd szybko i przekonałem się, że jest to ten sam list, który mi przyniósł tyle nieszczęść podczas pierwszej mojej podróży.

Bojąc się, ażeby kapitan i marynarze nie ujrzeli w moim ręku przeklętego listu, włożyłem go z powrotem do kieszeni. Zaledwie to uczyniłem, niebo zachmurzyło się, błyskawica fioletowym zygzakiem zarysowała się na ołowiu chmur, rozległ się grzmot daleki i okręt nasz zakołysał się

nerwowo na wzburzonych falach. Byłem pewien, że przyczyną burzy jest obecność na okręcie listu Diabła Morskiego. Nie myliłem się, gdyż takiej burzy nikt chyba jeszcze nie widział. Niebo i morze tak pociemniały, iż robiły wrażenie dwóch bezdennych otchłani, w których miotła się i ryczała sama ciemność, przemieszana z wichrem. Ludzie na pokładzie stali bez ruchu, nie wiedząc, co czynić. Nawzajem się nie widzieli, nawzajem nie słyszeli swych głosów.

Trudno było w tej ciemności wyróżnić kapitana. Zapewne wydawał jakieś rozkazy w celu ratowania okrętu, lecz – niestety – nikt tych rozkazów nie słyszał wśród ryku burzy i poświstu wichury. Olbrzymie fale wpadały na okręt, zatapiając ludzi i znosząc niektórych z pokładu. Wreszcie usłyszałem głuchy trzask łamiących się masztów i uczułem, że okręt nasz pogrąża się w toni morskiej. Odmówiłem z błyskawiczną szybkością modlitwę, którą marynarze odmawiają zazwyczaj w chwili, gdy okręt ma utonąć. I dobrzem uczyniłem, bo gdybym się spóźnił o małą chwilę, już bym nie zdążył jej odmówić, a kto wie czy bez pomocy tej modlitwy udałoby mi się uratować swe życie wśród ogólnego zniszczenia.

Woda zalała już pokład. Zapewne dolna część okrętu została naruszona i woda znalazła sobie dość szerokie ujście, gdyż w niespełna kilka minut uczułem, że grążę się wraz z okrętem w morzu. Już woda sięgała mi ramion, szyja tylko i głowa i wzniesione usilnie ręce sterczały nad jej powierzchnią. W tej chwili właśnie niebo z lekka się przejaśniło i zobaczyłem, że dokoła mnie sterczą tak samo szyje i głowy i wzniesione ku niebu dłonie moich towarzyszy. Zapadaliśmy się na dno coraz szybciej. Już dolne wargi nasze dotykały poziomu morza. Po chwili zobaczyłem bezsilne miotania się tonących beznadziejnie ciał ludzkich które nadaremnie borykały się w wodzie z okropną śmiercią. Przyszła kolej i na mnie. Jużem się zachłysnął dwa razy i miałem się zachłysnąć po raz trzeci, gdy nagle ujrzałem w pobliżu olbrzymi maszt, który, wichrem złamany, płynął po fali. Uczepiłem się oburącz tego masztu i popłynąłem wraz z nim tam, kędy¹⁷ wichur nas pogała. Płynąłem tak trzy dni i trzy noce, aż wreszcie pewnego poranku dotarłem do brzegów jakiegoś lądu.

Wyskoczyłem radośnie na ląd i rozejrzałem się dokoła, chcąc zrozumieć, gdzie jestem i czy znajdę jakiegokolwiek pożywienie, czy też czeka mnie śmierć głodowa. Trzy dni bowiem i trzy noce nic w ustach nie miałem. Wokół mnie była zupełna pustynia. Piachy i piachy. Ani drzew, ani kwiatów, ani ptaków. Jeno pośrodku niemal piaszczystej równi ujrzałem przedmiot, który od razu przykuł moją uwagę. Był olbrzymi i okrągły, niby potwornie wielkie jajo. Żaden wszakże ze znanych mi ptaków tak olbrzymich jaj nie znosił. Toteż przyszedłem wkrótce do wniosku, że jeśli ów przedmiot jest – jajem, ptak, który je zniósł, należy w każdym razie do nieznanego mi gatunku ptaków. Prócz tego przyszło mi do głowy, że mogę skorzystać z zawartości tego jaja, aby głód zaspokoić, gdyż nie znajdę wokół żadnego innego pokarmu. W tym celu zbliżyłem się szybko do jaja, wyjąłem zza pasa topór podróżny i uderzyłem nim z całych sił w skorupę. Uderzenie topora nadłamało z lekka skorupy, w której ukazała się wąska szczelina. Natychmiast przez ową szczelinę zaczęło się sączyć białko. Nadstawiłem dłoni i począłem spijać świeże, smaczne białko, które ciurkiem płynęło z olbrzymiego jaja.

Przetrawiałem tak kilka tygodni, karmiąc się wyłącznie białkiem. Po kilku tygodniach z jaja trysnęło pachnące, szafranowego koloru żółtko. Rad byłem niezmiernie tej zmianie potraw, gdyż wyznam szczerze, iż białko mi się już sprzykrzyło i od dni kilku z niecierpliwością wyczekiwałem spodziewanego żółtka.

Po kilku wszakże tygodniach wyczerpało się i żółtko. Przedemną piętrzyła się jeno olbrzymia, lśniąca skorupa do cna opróżnionego jaja, które przez czas tak długi było dla mnie pełną powabną spizarnią. Z rozpaczą spojrzełem na opustoszałą spizarnię i na dookolną pustynię, gdzie nie mogłem znaleźć dla siebie żadnego pokarmu. Pustynia była spalona słońcem. Przez kilka tygodni mego na niej pobytu ani jedna kropla deszczu nie upadła na jałową ziemię. Właśnie pomyślałem o deszczu, gdy nagle niebo się zachmurzyło i poczułem w powietrzu przyjemny, wilgotny zapach zbliżającej się ulewy. Ulewa spadła z takim szumem, jakby w niebie rozwarło się tysiące rdzawych, zgrzytliwych

¹⁷ *kędy* (daw.) – dokąd, gdzie. [przypis edytorski]

upustów. Rozchyliłem usta i z rozkoszą spijałem olbrzymie, chłodne krople, które mi do ust obficie trafiały. Przemokłem cały do cna, sprawiał mi jednak przyjemność wilgotny dotyk deszczu. Nadszedł wieczór – a deszcz nie ustawał. Nadeszła noc – a deszcz nie ustawał. Zaświtał poranek – a deszcz trwał nadal. Zaczęło mnie to niepokoić. Zamiast pustyni – miałem teraz przed oczyma nieskończoną kałużę, która z każdą chwilą szerzyła się i pogłębiała. Po kostki byłem już w wodzie. Drugi dzień minął, a deszcz lał jak z cebra nieustannie. Woda sięgała mi niemal do kolan. Próżnom dokoła wodził okiem, aby znaleźć jakiegokolwiek schronisko. Ani drzew, ani skał nie było dokoła. Wzrok mój padał nieustannie tylko na olbrzymie, puste jajo. Przyszła mi nagle myśl do głowy, że mogę przecież zamieszkać w jego wnętrzu. Natychmiast zbliżyłem się do jaja, rozszerzyłem toporem otwór, który przedtem uczyniłem, i wpełzłem przez otwór do wnętrza. Gdym był już we wnętrzu, zasłoniłem otwór skórzanym kaftanem, który miałem na sobie, aby tym sposobem osłonić moje nowe mieszkanie przed ulewą. Byłem zachwycony moim schroniskiem. Od czasu, jak wyruszyłem w podróż, nie miałem jeszcze tak wygodnego mieszkania. Było co prawda zbyt okrągłe i zbyt sklepione. Musiałem przez czas pewien przyzwyczajać nogi do chodzenia po wklęsłej, nieckowatej podłodze. Zanim zdobyłem owo nawyknienie, padałem niemal co chwila jak długi na podłogę tym bardziej, że była śliska z powodu resztek białka, które zgarniałem w dłonie i w ten sposób żywiłem się jeszcze przez dni kilka. Tymczasem – nazajutrz po moim zamieszkaniu we wnętrzu jaja, deszcz ustał i pogodne, jaskrawe słońce przeniknęło przez przezroczą¹⁸ skorupę jaja, wyzłacając całe jego wnętrze. Sama skorupa, oświetlona rześkim słońcem, zdała mi się szczerozłotą. Widziałem, jak z wolna, w miarę zachodu słońca – zmieniała swe barwy, stając się coraz różowszą, aż wreszcie spurpurowiała, wypełniając wnętrze cudownym, purpurowym półświatłem. Ubranie moje i ręce, na które spojrzałem, wszystko teraz było – purpurowe, aż wreszcie purpura zaczęła ciemnieć, błękitnieć, szarzeć i w końcu mrok gęsty zapanował w moim mieszkaniu. Pewnego dnia – w samo południe, zauważyłem nagle, iż przejrzyste ściany mego mieszkania, złościściejące od słońca, pokryły się nagłym i niespodzianym cieniem.

– Pewno się niebo zachmurzyło i burza nadchodzi – pomyślałem w duchu i, chcąc sprawdzić moje przypuszczenia, wyjrzałem na świat przez wyżłobione w jajku okienko.

Jakież było moje zdziwienie, gdym zamiast chmury – ujrzał w niebiosach – tuż nad jajem – olbrzymiego ptaka, który dwojgiem ogromnych skrzydeł przestonił niebiosy i rzucił cień na ściany mego domu.

Nigdy nie widywał dotąd tak ogromnego skrzydlaka. Zauważyłem, że po chwili lotu znieruchomiał w niebiosach i zaczął się z wolna spuszczać na ziemię – wprost ku miejscu, w którym znajdowało się jajo.

Domyśliłem się, że jajo, w którym mieszkam, jest przyrodzoną własnością skrzydlatego olbrzyma. Jednocześnie przypomniałem sobie nagle słowa pewnego marynarza, który mówił do mnie i do swych towarzyszy:

– Nikt mi chyba nie uwierzy, że widziałem w swoim życiu ptaka, który jest dziesięć razy większy od największego okrętu, chociaż posiada dwa tylko potężne żagle. Kto nie wierzy w istnienie takiego ptaszury, ten niech przynajmniej uwierzy w to, że ptak ów nazywa się Rok. Nie znam jego obyczajów, ale przypuszczam, iż znosi jaja tak wielkie, że można by w jednym z nich schować wszystkie kufry naszej załogi z taką samą łatwością, z jaką ja w tej chwili chowam fajkę do kieszeni. Niewiara prostaków w możliwość zniesienia takiego jaja zasadza się chyba na tym tylko, że nigdy kura swojska takich im jaj znieść nie raczyła, – lecz za możliwością znoszenia jaj takich przemawia nieodparcie ta okoliczność, że ptak Rok wcale nie jest do kury podobny.

¹⁸ przezroczy – dziś: przezroczysty. [przypis edytorski]

Tak mówił stary, wytrawny marynarz. Pamiętam, iż wówczas pierwszy zważyłem o prawdziwości słów starego marynarza, toteż w tej chwili właśnie poczerwieniałem ze wstydu po uszy na myśl, iż tkwię we wnętrzu jaja, w którego zniesienie nie wierzyłem, i że spuszcza się ku mnie z niebiosów¹⁹

¹⁹ *niebiosów* – dziś popr. forma: niebios. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.